WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 35 (365)
ROK VII
27 sierpnia 1967 r.

Kulturalne dylematy

SPÓR O AMATORÓW

Temat nienowy. I spór o jego ujęcia — także. Chodzi o ruch kulturalny, o amatorskie zespoły artystyczne. Mówiono już o tym różnie. Po okresie bezkrytycznych zachwytów i administracyjnego „rozmnażania" różnego rodzaju chórów i zespołów radosnej twórczości, przyszedł okres równie zapalczywego i bezkrytycznego ich potępiania. Od zarzutów staroświeckości i anachronizmu pewnych form i metod działania, częściowo zresztą słusznych, posuwano się wręcz do wyklinania ich w czambuł: że nieżyciowe, niewspółczesne. Że są szkołą złego gustu, że psują to, co z trudem starają się stworzyć profesjonalne środowiska — teatr, kino, filharmonia, TV. Powoływano się na konieczność powielania jak najszerzej uniwersalnych usług kulturalnych, które w dobie unifikacji kultury, wywołanej procesem uprzemysławiania, urbanizacji i rozwoju środków łączności oraz masowego przekazu, bardziej odpowiadają potrzebom współczesnego człowieka niż zaściankowa twórczość amatorska. Obrońcy amatorskich zespołów przypominali o konieczności zachowania więzi z tradycją, z własnymi wartościami kulturowymi. Przypominali, że podporządkowanie się bez reszty podaży usług uniwersalnej kultury wywoła bierną, konsumpcyjną postawę społeczeństwa. Szkody zaś, jakie mogą wyniknąć z takiej postawy dla ogólnonarodowej kultury, będą trudne do oszacowania. Spór trwa. Przeciwnicy niechętnie ustępują. Zarówno z jednej, jak i z drugiej strony.

AMATORSTWO — RUCH CIĄGŁY

Ciągły ale i... przerywany. Zanim podejmiemy spór z tymi, którzy nie widzą współcześnie już „przydatności" amatorskiego ruchu artystycznego dla rozwoju kultury społecznej, zacznijmy wpierw od folkloru.

Tu adwersarzy będzie mało. Wszyscy będą zgodni: folklor należy pielęgnować. Jeśli wrócimy jednak do samego znaczenia słowa „folklor", to oznacza ono po prostu — kulturę duchową ludu, jego wyobrażenia, wierzenia, gusty, zwyczaje, jego twórczość najszerzej pojętą: w muzyce, pieśni, ludowej legendzie, obrzędzie, zdobnictwie, sztuce. Tak pojęty folklor obejmuje nie tylko środowisko wiejskie, ale i „mini-kultury" poszczególnych regionów, miast, przedmieść, grup społecznych i zawodowych. Są one różne, określone odmiennością klimatu, warunków życia, społecznych i historycznych tradycji. Różne dla śląskiego górnika i dla Kaszubarybaka, inne warunki, tradycje i gusty kształtowały poglądy Górala podhalańskiego czy łowickiego chłopa, a inne — łódzkiego tkacza czy niedawnego osiedleńca Ziem Zachodnich. Stąd bogactwo folkloru.

A czymże, jeśli nie współczesnym folklorem jest samorodna, amatorska twórczość, która mimo wszelkich wokół niej rozpętywanych dyskusji, pasjonuje dziś nadal 350-tysięcy osób czynnie działających w Polsce w 23 tysiącach amatorskich zespołów? I twórczość ta, pomimo konserwatyzmu niektórych działaczy, nie umiejących dostosować swych metod i form pracy do aktualnych potrzeb społecznych, jest przecież najżywszym dowodem autentycznej potrzeby człowieka; t w o r z e n i a samemu wartości potwierdzających jego chęć c z y n n e g o współuczestniczenia w procesie tworzenia kultury narodu.

Jest to ta sama potrzeba, która — gdzie indziej — tworzy ruch racjonalizatorski w technice, czy sprowadza na stadiony utalentowane jednostki, aby w szlachetnej rywalizacji sportowej ujawniły swój talent.

Im szerszy i głębszy jest rozwój naszej kultury, tym większe szanse powstają dla samorodnej twórczości amatorskiej. Jest to bowiem prosty wynik rozwijających się potrzeb duchowych społeczeństwa, które nie zamierza ograniczyć się wyłącznie do roli biernego konsumenta. Jest to dowód rozbudzonej świadomości jednostki, która w socjalistycznych warunkach może tę humanistyczną świadomość zdobyć.

Czy trzeba tu przypominać, jak wielkie i bezsporne nawet dla profesjonalnych środowisk korzyści przyniósł ruch amatorski w Polsce? Wymieńmy tu choćby konkursy recytatorskie, które zdaniem poetów, krytyków i teatrologów wpłynęły decydująco na zmianę stylu podawania tekstu poetyckiego w teatrze zawodowym. Wymieńmy całą plejadę „kabaretów literackich" i studenckich, które przyniosły na nasze deski sceniczne zupełnie nowe wartości i treści.

ZŁY I DOBRY ZESPÓŁ

Oczywiście, są zespoły tworzone lekkomyślnie. Są złe nawyki i złe gusty pokutujące wśród niektórych działaczy i wśród uczestników zespołów, mających wyłącznie na uwadze tani poklask, łatwy rozgłos lub wręcz tandetną nadzieję „na sławę". Takie zespoły nie mają na ogół długiego życia. Ale jeśli istnieją — trzeba im pomóc, wytłumaczyć, wyjaśnić, na czym polega prawdziwa wartość tego, co m o g ą zrobić i zdziałać w swym regionie i środowisku.

Ale są również i inne. Wymieńmy przykładowo mało znany zespół teatralny z kopalni węgla w Grodźcu (woj. katowickie), który od 40 lat prowadzi niezmiennie ten sam — ongiś górnik-rębacz, dziś — sztygar, i który gra najambitniejszy repertuar, zawsze przy pełnej widowni. A gra tak, że nie ma przedstawienia, aby na sali nie zjawił się ktoś z zawodowych reżyserów, by... podpatrzeć „jak oni to robią". Jest taki sam zespół w Żyrardowie pod Warszawą, i w Bydgoszczy, i w Gdańsku. Jest ich wiele.

Ruch amatorski w Polsce przechodził różne fazy. Obecna sytuacja nie jest najlepsza. Zaledwie około 20 proc. zespołów pracuje dobrze. Reszta — kuleje na jedną lub obie nogi. Przyczyn jest wiele. Nie czas wypominać, jak zamarła amatorska twórczość teatrów lalkarskich. Nie czas czynić wyrzuty, że zespoły chóralne umierają naturalną śmiercią. Rzecz w tym, by istniejące zespoły uzbroić we właściwe kadry i materiały instruktażowo-pomocnicze, a przede wszystkim — stworzyć wokół nich klimat zachęty do pracy we właściwym kierunku.

STEFAN HENEL

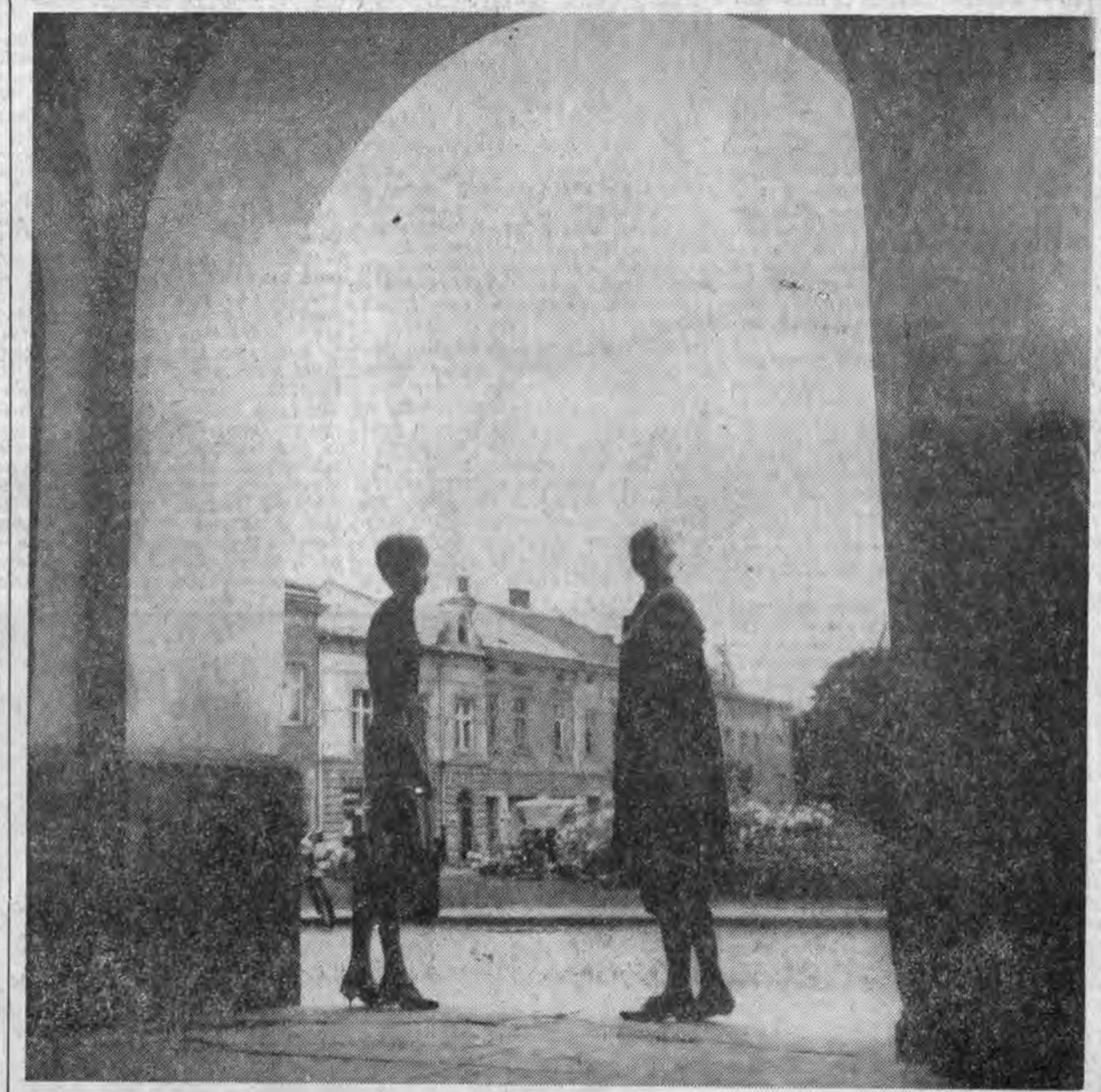

Fot. M. KOPEĆ

Co ciekawego w statystyce?

Szkolnictwo wyższe

Główny Urząd Statystyczny podsumował ubiegły rok akademicki; w publikacji zaprezentowano dane liczbowe dotyczące m. in. studentów w poszczególnych typach uczelni, domów akademickich, stypendiów, wydziałów, katedr, instytutów uczelnianych oraz kadry naukowej.

Liczba uczelni od 2 lat pozostaje ta sama, ale nastąpiły pewne zmiany w sieci szkół wyższych; stołeczną Wieczorową Szkołę Inżynierską włączono do Politechniki Warszawskiej, a w Opolu utworzono Wyższą Szkołę Inżynierską. W sumie mamy 76 uczelni, w których kształciło się łącznie 274 470 osób, w tym 39,5 proc. na wydziałach dla pracujących.

Studia dla pracujących, z wyjątkiem eksternistycznych, nadal cieszą się wzrastającą popularnością, zwłaszcza w środowiskach robotniczych i chłopskich. I tak np. na studiach zaocznych jest 46,8 proc. słuchaczy pochodzenia robotniczego oraz blisko 31,0 proc. pochodzenia chłopskiego. Na studiach wieczorowych zaś 56,7 proc. słuchaczy rekrutuje się ze środowisk robotniczych i 19,8 proc. ze środowisk chłopskich. Natomiast na studiach dziennych nadal zwiększa się procentowy udział dzieci pracowników umysłowych, osiągając w ub. roku 51,2 proc. ogółu studentów.

Ciekawymi są także dane obrazujące strukturę studentów pod względem płci. Największy odsetek kobiet zanotowano na studiach dziennych (ponad 46 proc.), znacznie mniejszy na zaocznych (ponad 30 proc.), a najmniejszy na studiach wieczorowych (niespełna 18 proc.). Nadal występuje zjawisko feminizacji pewnych kierunków studiów. I tak np. dziewczęta zdecydowanie przeważają na studiach dziennych w wyższych szkołach pedagogicznych, na akademiach medycznych i uniwersytetach oraz w wyższych szkołach ekonomicznych.

W większości są one także na studiach wieczorowych uniwersytetów oraz w zaocznych wyższych szkołach pedagogicznych. Sporo kobiet kształci się również na wydziałach zaocznych uniwersytetów i szkół ekonomicznych oraz na wydziałach wieczorowych szkół artystycznych. Uczelnie techniczne natomiast stanowią domenę mężczyzn: na studiach dziennych jest ich prawie 80 proc. oraz ponad 90 proc. na studiach dla pracujących.

Z różnych stypendiów (zwyczajne, naukowe i fundowane) korzystało 45,3 tys. studentów studiów dziennych. W 260 domach akademickich mieszkało 70 tysięcy studentów, z których 41,5 tys. przyznano stypendia mieszkaniowe. Niepokojącym zjawiskiem jest nadmierne przepełnienie domów akademickich: przeciętnie na 100 miejsc powierzchni mieszkaniowej przypada 122 studentów, w Rzeszowie zaś wskaźnik zagęszczenia wynosi aż 158, w Opolu — 153, w Olsztynie 147. W szczególnie niekorzystnej sytuacji są więc pod tym względem małe i młode ośrodki akademickie.

Szkolnictwo zawodowe

GUS zaprezentował także wyniki dochodzeń statystycznych w zakresie szkolnictwa zawodowego w 1966/67 roku. Informacje dotyczą m. in. liczby uczniów, oddziałów według czasu trwania nauki, kierunków szkolenia, pomieszczeń do nauczania, stypendiów, internatów oraz struktury kształcącej się młodzieży pod względem płci, wieku i pochodzenia społecznego, a także miejsca zamieszkania rodziców. Dane te opracowano w przekrojach wojewódzkich.

W szkołach przysposobienia rolniczego nastąpił w ub. roku nieznaczny spadek procentowego udziału dziewcząt, lecz nadal pozostają one w większości (62,3 proc.). Jeszcze więcej dziewcząt kształciło się w zasadniczych szkołach rolniczych (66,4 proc.). Dane te ilustrują zjawisko feminizacji zawodu rolnika.

W ubiegłym roku wydatnie zwiększyła się liczba uczniów w zasadniczych szkołach zawodowych zaocznych (wskaźnik wzrostu w porównaniu z rokiem poprzednim wyniósł 1[illegible]) oraz w zaocznych technikach zawodowych dla absolwentów ZSZ (wskaźnik — 133,8). Wzrasta także, chociaż w tempie słabszym, liczba słuchaczy szkół pomaturalnych (107,9 proc.).

Szkolnictwo zawodowe dysponowało przeszło 29,3 tys. pomieszczeń do nauczania, z czego 719 pomieszczeń udostępniły szkoły ogólne, a ponad 2 tys. — zakłady pracy. Na uwagę zasługuje wzrost o 7,8 proc. pracowni przedmiotowych, lecz zmniejszyła się liczba sal lekcyjnych.

Do szkół zawodowych dla niepracujących uczęszczało łącznie 1 013,0 tys. uczniów, z których 29,9 proc. pobierało stypendia. W 1 346 internatach oraz w 33 bursach mieszkało 215,2 tys. uczniów. Warto podkreślić, iż nadal występuje nadmierne przepełnienie internatów. Wskaźnik zagęszczenia wynosi przeciętnie 113, ale w woj. rzeszowskim ze 100 miejsc korzysta 128 uczniów; wyższy wskaźnik zanotowano tylko w woj. warszawskim. Wolnymi miejscami w internatach dysponowały natomiast szkoły zawodowe w województwach: katowickim i wrocławskim oraz w Łodzi.

(K)

Przemyski cicerone

— Czy są żyletki te po 15 zł?

... elastyczne pończochy...? ślubne obrączki? Czekając na swoją kolejkę w komisowym sklepie MHD w Przemyślu, przypatrywałam się ruchliwemu panu zza lady.

✶

Już w szkole chciał być tam, gdzie „coś się dzieje". Zapał szperania i tropienia tajemnic zabytków nie dawał mu spokoju. Założył szkolne kółko krajoznawcze. Z całą pasją i młodzieńczą energią oddał się tej pracy; snuł ambitne plany badań kultury ludowej i popularyzowania turystyki... ale nie starczyło czasu. Nawet nie zdążył zdać matury. Rok 1939... Niedługo potem pod pseudonimem „PORAJ" rozpoczął działalność w podziemnym ruchu oporu.

I tak było do maja 1944 r., gdy społeczeństwo Przemyśla zelektryzowała wieść o masowych aresztowaniach. Wypadki szybko następowały po sobie. Aresztowanych przewieziono do Krakowa, skąd wkrótce przyszła tragiczna informacja o rozstrzelaniu wielu spośród uwięzionych.

W tym samym czasie:

„... dziwiło mnie, że jakoś dzięki niewytłumaczonym bliżej kombinacjom losu, omija mnie śmierć. Egzekucje odbywały się przecież codziennie... Na liście figurowałem jako „aktywny działacz ruchu oporu..."

Wyjaśnienie przyszło znacznie później, rozstrzeliwano kolejno od numeru 1 do 20. JAN ROŻAŃSKI vel „PORAJ" jako 24 NUMER z niewielką garstką ocalałych dostał się do LANDSHUT (Kamienna Góra) oddziału obozu Gross-Rosen. I wtedy zdawało się, że już nic nie zdoła wstrzymać nieuchronnej śmierci. W dramatycznej niepewności, zwątpieniach i nadziei doczekał momentu wkroczenia Armii Czerwonej. 20 maja 1945 r. do Przemyśla wraca jako 30-kilogramowy świadek obozowych zbrodni.

✶

„... zdałem maturę, skorzystałem z prawa przysługującego jeńcom obozowym — podjęcia pracy w handlu... i w handlu pracuję do dziś — mówi pan Rożański. I można byłoby sądzić, iż już nic szczególnego się nie zdarzy, ale gdzieś w 1949 czy może 1950 roku zaczęło się mówić o działalności w Przemyślu PTTK i tam skierował swe kroki późniejszy autor „TWIERDZY PRZEMYŚL"...

Nim jednak został, najpierw współautorem, potem autorem kilku publikacji, przeszedł wiele konsekwentnie następujących po sobie etapów pracy. Rozpoczął swoją działalność jako organizator wycieczek i rajdów, był pionierem w oznaczaniu pierwszych szlaków turystycznych w rejonie Przemyśla; pracował z zapałem i poświęceniem.

Energia czynu, zmysł organizatorski w przygotowaniu wielu turystycznych imprez, szybko zdobyły sobie uznanie. Wybory w Zarządzie PTTK w Przemyślu przyniosły p. Rożańskiemu zaszczytną i zobowiązującą funkcję prezesa, a niedługo potem za całokształt pracy społecznej w tej dziedzinie otrzymał „ZŁOTĄ ODZNAKĘ PTTK" i odznakę „Zasłużonego działacza turystyki". Nieoficjalnie przylgnęło do niego miano przemyskiego CICERONE.

✶

I już nikt nie mógł mieć wątpliwości, że działalność J. ROŻAŃSKIEGO nie ma nic wspólnego z dyletanckimi „wyprawami" w sfery tylko osobistych zainteresowań. Prace obliczone na szerszego odbiorcę miały sprawdzalne pokrycie w materiałach źródłowych i dokumentach historycznych. W tym miejscu mógłby właściwie ktoś zapytać, czym kierował się Rożański w swoich przedsięwzięciach?

Okazuje się, że od dawna drażniła go — jak mówił — wyraźna dysproporcja między możliwościami, jakie oferują zabytki przeszłości i przyroda, a właściwą oceną i wykorzystaniem ich chociażby dla celów turystyki. Do pasji zaś doprowadzało go typowo polskie narzekanie, którego sens doskonale streszcza zdanie: „cudze chwalicie swego nie znacie..."

I tu należy szukać genezy Przewodnika „Przemyśl i okolice" napisanego wspólnie z historykiem dr A. Gilewiczem. Dalej przyszły informatory, foldery reklamujące zabytki Przemyśla, Krasiczyna itp. Z prawdziwym uznaniem przywitano „FORTY PRZEMYSKIE". Ich rolę właściwie możemy ocenić dziś. Dlatego też przypomnijmy z jakim żalem pisał autor:

Jan Rożański
Fot. J. WOJTOWICZ

„... obecnie forty przez nikogo nie użytkowane ulegają dewastacji, a szkoda, gdyż jako ciekawy przykład budownictwa obronnego, mogą stanowić atrakcję turystyczną; nawet te fragmenty, które dziś możemy oglądać wywierają mocne i niezapomniane wrażenie..."

A teraz?

Pan ROŻAŃSKI rozłożył przede mną plansze. Są to projekty drogowskazów i oznakowań, które przygotowuje na polecenie Woj. Ośrodka Informacji Turystycznej w Rzeszowie. Obiekty zyskały mecenasa, J. Rożański satysfakcję, a turyści wkrótce „niezapomniane wrażenia".

Nie chcę mówić o „TWIERDZY PRZEMYŚL", tomiku wydanym przez MON w serii „Sensacji XX w.". Prawdziwy sukces autora potwierdziły już niejednokrotnie dobre recenzje i przede wszystkim popularność wśród czytelników.

Teraz wypadałoby tylko powiedzieć, że w przygotowywanej zbiorowej MONOGRAFII Przemyśla J. ROŻAŃSKI opracowuje rozdział „Przemyśl podczas II wojny światowej". Uprzedzając fakty można się pokusić o wyrażenie opinii, iż będzie to równie frapująca, budząca duże zainteresowanie lektura.

✶

W sklepie u J. Rożańskiego ruch. Obsługiwanie klientów, rozmowy, dyskusje. W chwilach „luzu" przemyski CICERONE wyciąga kawałek papieru i ołówek. Swoje pomysły notuje od razu. A rezultaty tego są widoczne. Nazwisko jego figurowało przy projektowaniu wystawy w Muzeum, a także przy opracowaniu szaty graficznej informatorów. Jest ponadto amatorem fotografikiem. Próbuje również swych sił w grafice — z okazji milenium wysłał swoje propozycje etykietek na pudełka zapałczane i oczywiście... z powodzeniem!

Czy to już wszystko? Nie. To zaledwie szkic portretu, ale wydaje się, że nie trzeba go dopełniać. W Przemyślu jest postacią ogólnie znaną. Przybysze zaś mogą się udać na ulicę Tysiąclecia. Zobaczą uśmiechniętego sprzedawcę, którego każdy gest i ruch zdradza człowieka pełnego energii, a każde słowo człowieka towarzyskiego i miłego gawędziarza.

Na uprzejme: czym mogę służyć? można choćby zapytać „czy są żyletki te po 15 zł? A potem już tylko słuchać...

JUSTYNA WOŚ

100-lecie urodzin Or-Ota

Bard Starego Miasta

Tak, jak niegdyś przed wiekami,
Co go dały w upominku,
Jest dziś Fukier między nami
Na warszawskim starym rynku.

Zawsze pełną wina czarę
Ma na smętków radowanie.
Póki stoi Miasto Stare —
Fukier w mieście pozostanie.

Pisał Artur Oppman — Or-Ot w jednym ze swoich zbiorków „Moja Warszawa". A miał ich całą kopę: od „Ze Starego Miasta", wydanego w 1893 roku, poprzez „Legendy warszawskie", „Kronikę mieszczańską o Malchrze Gąsce, rajcy warszawskim" i wiele, wiele innych, aż do „Pieśni o Rynku i zaułkach", łabędziego śpiewu poety, wydanej w 1932 r. Był piewcą staromiejskiej Warszawy, jej uliczek i zaułków, świątyń i przybytków wesołego Bachusa, starych kamieniczek, facjatek z fuksją w oknie i ludzi — ludzi i jeszcze raz ludzi zamieszkujących Stare Miasto. Bo tak za jego czasów nazywano Starówkę.

Urodzony na Lesznie, syn fabrykanta musztardy, z matki Polki, potomek turyńskiego rodu, który wraz z Augustem Mocnym przybył do Polski, rozkochał się w niej prawnuk i pozostał wierny na całe życie tej Polsce, a przede wszystkim Warszawie.

Orłem poezji nie był, ale gołębiem, co razem z warszawskimi skrzydlatymi gońcami polatuje nad dachami i wieżyczkami miasta.

Or-Ot kochał konie, nade wszystko konie ułańskie. Pisał więc o księciu Józefie, który z koniem skoczył w fale Elstery, i o Kozietulskim, szarżującym na wąwóz Somosierry, i o całej „Epopei Napoleońskiej", który to tytuł dał jednemu ze swoich zbiorów patriotycznych wierszy.

Marzeniem Or-Ota było wojsko: nie jako takie, ale polskie wojsko, w którym by służył i którego mundur nosiłby z dumą. Marzenie ziściło się w okresie międzywojennym: za czterdziestoletnie zasługi na polu poetyckim, za budzenie uczuć patriotycznych i za głoszenie chwały oręża polskiego Or-Ot otrzymał przywilej noszenia oficerskiego munduru i prawo do pobierania oficerskiej pensji. Wtedy znalazł się w siódmym niebie.

Dostał wojskowy ekwipaż — powóz zaprzężony w parę białych koni z ordynansem na koźle. W powozie tym paradował po ulicach Warszawy, oddając ukłony przytknięciem dłoni do daszka rogatywki. A kiedy wracał do siebie na Kanonię, siadał u okna, z którego „patrzył na całą Polskę", i pisał. Rada Narodowa Miasta Warszawy w uznaniu zasług pisarskich barda Starego Miasta, umieściła w 1961 r., w trzydziestolecie jego śmierci, pamiątkową tablicę ze słowami: „Tu mieszkał i tworzył piewca Starej Warszawy, Artur Oppman — Or-Ot, 1867—1931".

Obecnie, w stulecie jego urodzin, złóżmy pod progiem tego odbudowanego domu wiązankę kwiatów i otwórzmy na którejkolwiek stronie którykolwiek ze zbiorów jego poezji.

ADRIAN CZERMIŃSKI

Julian Woźniak

Propozycja dla... operatywniejszego

Wisła — sierpień 1967 r.

Perła uzdrowisk Beskidu Śląskiego — Wisła, w pełni na tę nazwę zasługuje. Kotlina, przez którą górskim nurtem przebija się jakże jeszcze tutaj niepozorna królowa polskich rzek, stwarza idealne wprost warunki wypoczynku. Świetny klimat, przepiękna okolica i doskonałe zagospodarowanie terenu. Szeroko rozwinięta tak zwana baza noclegowa, wystarczająca ilość dobrze zaopatrzonych sklepów, kiosków różnych branż, no i innych — jakże potrzebnych turyście i wczasowiczowi, którego popularnie nazywa się tutaj letnikiem — placówek. Mam na myśli kawiarnie, czytelnie, biblioteki, publiczne sale telewizyjne i całe zaplecze parkowo - kąpieliskowo-sportowe.

Dość wspomnieć, że na przestrzeni kilku kilometrów uregulowana Wisła poprzez bardzo liczne spiętrzenia wody w zupełności rozwiązuje problem kąpieli, w tej, po przysłowiowe kostki jeszcze tutaj, „rzeczce". Bardziej zaawansowanym entuzjastom pływania oddano do dyspozycji duże kąpielisko, a entuzjastom sportu — stadion i kilkadziesiąt boisk do siatkówki, z których wiele jest idealnie gładko wyasfaltowanych.

Oddzielny temat stanowi tutaj świetnie rozwiązany problem wyżywienia przyjeżdżających w te strony urlopowiczów i wycieczkowiczów... W dzisiejszej korespondencji pragnę poruszyć temat zupełnie innej strony, tej duchowej!

W dniach od 13 do 20 bm. odbywała się w Wiśle ogólnopolska impreza folklorystyczna zwana Tygodniem Kultury Beskidzkiej. W pięknym wiślańskim amfiteatrze wystąpiło około 20 zespołów regionalnych i ludowych z Beskidu Śląskiego, Żywieckiego i Podhala, w tym znane z licznych sukcesów artystycznych zespoły góralskie z Koniakowa, Wisły, Istebnej, Brennej i Jaworzynki. Gościnnie w ramach Tygodnia Kultury Beskidzkiej wystąpiły zespoły z Czechosłowacji (zespół „Zbójnik" ze Spisza oraz śpiewacy i tancerze z Sibicy), a także belgijski zespół ludowy „Dendermande".

Przez cały tydzień Wisła rozbrzmiewała więc regionalnymi melodiami, od okolicznych wzgórz echem odbijały się góralskie przyśpiewki i zawołania! Wczasowicze z całego kraju, którzy właśnie w Wiśle spędzają urlop, każdego dnia szczelnie wypełniali widownię amfiteatru. Mieli okazję oklaskiwać i podziwiać całą krasę góralszczyzny. Poznali zapomniane już ludowe instrumenty: trombity, kobzy, zwane po beskidzku „gajdami" i in. Nie żałowali przeto oklasków, którymi gorąco nagradzali występujące zespoły.

Dużą atrakcję stanowił jeden z koncertów zwany ludową estradą. Był to konkurs solistów-instrumentalistów, śpiewaków, tancerzy i gawędziarzy. Ich interesujące występy przeplatane były pokazem mody regionalnej, zorganizowanym przez CPLiA.

I nie tylko... Główne imprezy artystyczne „Tygodnia" miały wiele różnorodnych imprez satelitów. Przez cały ten okres czynne były w Wiśle: wystawa sztuki ludowej oraz wystawy prac twórców ludowych i prac młodzieży szkolnej regionu beskidzkiego. Ponadto w oryginalnych stylowych kioskach odbywał się kiermasz regionalnych potraw. Największym powodzeniem cieszyła się smakowita, pieczona na rożnie „zbójnicka pieczeń", owcze serki, wiejskie kołacze i góralska „miodonka". Stoiska i kioski z tymi potrawami i napojami bez przerwy były oblegane przez kupujących.

Nie trzeba chyba dodawać, iż kelnerzy w miejscowych kawiarniach i restauracjach obsługiwali konsumentów w regionalnych strojach. W góralskich przebraniach przez cały tydzień pracowali również taksówkarze. A góral za kierownicą „Wołgi" to też swojego rodzaju atrakcja.

I właśnie o wszystkie te atrakcje postarali się organizatorzy Tygodnia Kultury Beskidzkiej: Prezydium Miejskiej Rady Narodowej oraz miejscowy aktyw. Czynili to wszystko z myślą o przybywających do Wisły wczasowiczach z całego kraju. Powodzenie bowiem kurortu, to nie tylko troska o jakieś tam łóżko i miejsce gastronomiczne. To również zapewnienie przybywającym na odpoczynek godziwej rozrywki. To właśnie szeroko rozwinięta sieć bibliotek i czytelni, to sale telewizyjne, kino letnie, regionalne muzeum, to występy w muszli koncertowej zespołu Filharmonii Śląskiej z Katowic, to wreszcie własna masowa impreza regionalna, która w br. stała się oficjalnie ogólnopolską imprezą folklorystyczną i znalazła się w kalendarzu imprez Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Impreza ta, organizowana co roku w sierpniu, a więc w pełni letniego sezonu, jest ogromną atrakcją dla wczasowiczów. Ściąga do Wisły liczne rzesze turystów. Jak podała prasa śląska, w inauguracji Tygodnia Kultury Beskidzkiej uczestniczyło około 100 tysięcy osób. A trzeba też wiedzieć, że wszystkie występy, jakie odbywają się w muszli koncertowej w Wiśle, są następnie powtarzane na estradzie pobliskiego Szczyrku. A więc wartości jednocześnie dla dwóch renomowanych miejscowości wypoczynkowych.

Dalej — ogólnopolska impreza folklorystyczna ściąga do Beskidu Śląskiego dziennikarzy prasy, radia i telewizji, którzy — co się rozumie samo przez się — zapewniają szeroką reklamę nie tylko dla imprezy, ale również dla miasta, w którym ta impreza jest organizowana.

No i wreszcie wartości kulturowe. Organizowany od czterech lat Tydzień Kultury Beskidzkiej ożywia działalność wielu regionalnych zespołów, które chcą dostąpić zaszczytu występowania w gronie najlep-

(Ciąg dalszy na str. 4)

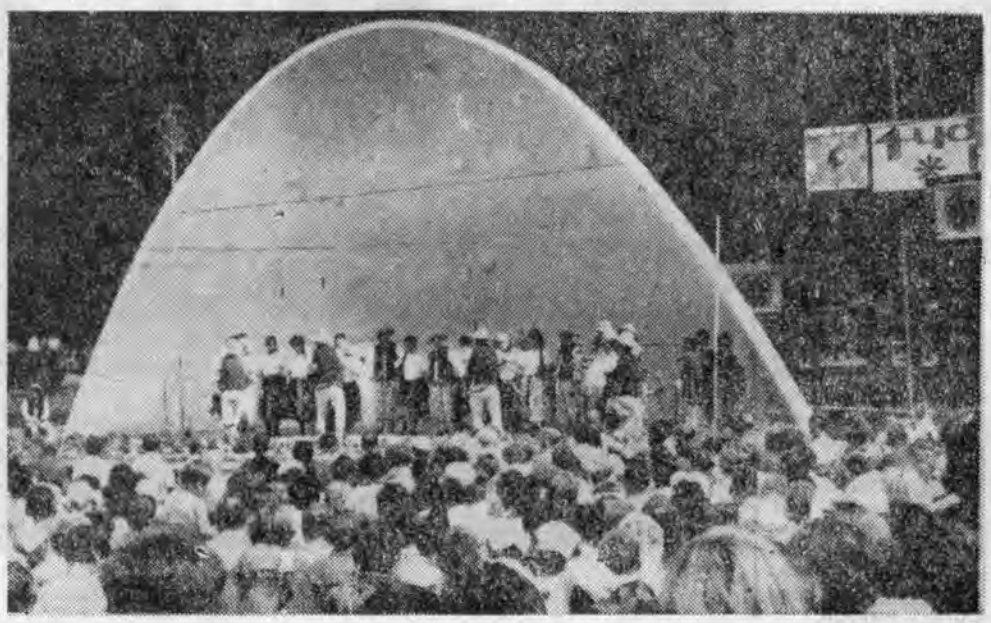

W muszli koncertowej Wisły doskonały zespół CPLiA z Koniakowa.

Fot. J. WOŹNIAK

Maria Cecylia Guziołek

„Sopot 67" Wspaniała publiczność

W niedzielę, 7 minut przed północą zabrzmiał ostatni sygnał Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie. Opera Leśna — chyba z ulgą — pożegnała rozentuzjazmowane i rozśpiewane przez Uda Juergensa, tysiące wielbicieli piosenkarskich igrzysk; radiosłuchacze bodaj z nie mniejszym uczuciem odprężenia zamknęli odbiorniki. Telewidzom ostatniego koncertu poskąpiono. I słusznie! Po co mieliby oglądać nowe twarze piosenkarskie, przecież w ciągu trzech poprzednich wieczorów zdążyli się przyzwyczaić do ekipy festiwalowej i już traktowali ją jak dobrych znajomych. A tu nowa plejada prawdziwych gwiazd! Zbyt wiele silnych wrażeń nikomu na zdrowie jeszcze nie wyszło!

Koncerty VII MFP transmitowały wszystkie stacje zrzeszone w Interwizji oraz Jugosławia i Norwegia. Oblicza się, że przebieg imprezy śledziło na małych ekranach około 50 milionów osób i co najmniej tyle samo słuchało przy radioodbiornikach. Jednym słuchaczem i widzem tej stumilionowej rzeszy byłam ja. Zerwałam z tradycją bezpośredniej obserwacji imprezy w Operze Leśnej, by spojrzeć na nią raz z pozycji przeciętnego miłośnika piosenki. Przeciętnego, bo zapaleńcy zawsze jakoś umieli znaleźć się w amifiteatrze opolskim i Operze Leśnej, zupełnie jak w powiedzonku: „Nie ma złej drogi, do swej niebogi".

Ogromna to frajda słuchać występów w pozycji „horyzontalnej" i mieć świadomość, że wystarczy nacisnąć klawisz, by zmazać całą tę feerię gwiazdeczek i zanurzyć się w upragnionej ciszy. Najidealniejsza transmisja, odbierana przez bajeczny aparat nie odda jednak atmosfery, niepowtarzalnej charakterystycznej i co roku innej, która towarzyszy każdemu festiwalowi. Właśnie dla niej setki osób rezygnuje z wygodnego fotela przed małym ekranem i ciepło ubrani, z pledem pod ręką (wieczory i noce nad morzem już są bardzo zimne) wędruje rokrocznie leśnym traktem do opery, której ścianami jest żywy las, a dachem wesoły pasiak, parasol-gigant.

Cudzoziemcy bardzo chwalą naszą sopocką imprezę i z roku na rok notujemy coraz więcej uczestników. „Sopot 67" pobił wszystkie dotychczasowe rekordy i wiele wskazuje na to, że w przyszłym roku liczba krajów reprezentowanych na festiwalu jeszcze wzrośnie.

Nagrodzone piosenki i wykonawcy są na ogół znani, ale na pewno warto je przypomnieć. Najlepszą piosenką „Dnia międzynarodowego" uznany został po raz pierwszy utwór polski „Po prostu jestem" Sławińskiego i Młynarskiego, który z młodzieńczą lekkością i wdziękiem śpiewała Dana Lerska. I tak „Bursztynowy słowik" z Sopotu przeniósł się do Warszawy, nie odleciał w szeroki świat. Dalsze miejsca otrzymały piosenki rumuńska i kanadyjska.

Najlepszą interpretatorką polskiej piosenki spośród cudzoziemców uznana została Gruzinka Gjuli Czocheli. W bardzo oryginalny sposób i pięknie interpretowała ona „S.O.S." Przybory i Wasowskiego. Drugie miejsce przyznano Angielce Jeanne Marden, a trzecie Francuzce Jacqueline Dulac.

Po raz pierwszy przyznano wielką nagrodę — „Grand Prix de Disque — Sopot 67". Wyśpiewała ją sobie w pełni zasłużenie przedstawicielka czechosłowackiej wytwórni płyt Eva Pilarova, laureatka Festiwalu „Bratysława 67", wykonując „Requiem" Ondracika i Snajtra. „Requiem" jest piosenką laureatką festiwalu bratysławskiego.

Musimy jeszcze wymienić tradycyjną nagrodę akredytowanych dziennikarzy, której laureatką została przedstawicielka USA, egzotyczna Leonda. Jacqueline Dulac — uzyskała jeszcze jedną nagrodę. Przyznała ją spółka autorska występująca pod nazwą Jan Gwóźdź, za piosenkę „Ci z Warszawy" i zaangażowany repertuar.

Przytaczam nazwiska laureatek i laureatów raz jeszcze, bo jak rzadko kiedy opinia słuchaczy była jednomyślna z „wyrokami" wysokiego, międzynarodowego jury. Zresztą co tu wiele mówić, jurorzy i publiczność mieli wyjątkowo łatwą sytuację. Nagrodzone piosenki swym poziomem artystycznym i tematyką daleko odbiegały od przeciętności i wyłonić je było łatwo.

Dowcipna „Muzyka i aktualności" w ubiegłą sobotę powątpiewała, czy z sopockich gwiazd dałoby się ułożyć chociażby Wielki Wóz. Okazało się, że na Wielki Wóz w sam raz starczyło. Siedem laureatów to na pewno klasa europejska. Od biedy z pozostałej grupy można by jeszcze wybrać gwiazdeczki do Małego Wozu. Reszta w zasadzie debiuty lub przeciętność. Tak zwana masówka! Z tej klasyfikacji i rozważań wyłączam trzy nazwiska artystów występujących poza konkursem: znakomitą Catherine Valente, świetnego Austriaka Udo Juergensa i Ewę Demarczyk, która w czasie koncertu „Na płytach całego świata", zaskoczyła bodaj wszystkich jakże ciekawym repertuarem i oryginalną, znowu inną interpretacją. Śpiewała „Cygankę" i „Balladę o cudownym urodzeniu Bolesława Krzywoustego" opartą na tekście Anonima Galla. Owacja, jaką jej zgotowano — zmuszając do bisów — była całkowicie zasłużona. To wielki talent!

W różnych wywiadach i rozmowach uczestnicy festiwalu mówili o wspaniałej atmosferze panującej w Sopocie i wspaniałej, wyrozumiałej, żywo reagującej, muzykalnej publiczności. Tak, polska publiczność jest kapitalna. Kochana! (to bez przekąsów powiedziane!). Jak już przyjdzie na jakąś imprezę, oklasków nie szczędzi. Pupilów nagradza huraganami braw i przetrzymuje na estradzie do ich fizycznej wytrzymałości. I to jest piękne! Wierzę, nadejdzie czas, że owacjom towarzyszyć będą pęki kwiatów, którymi stale jeszcze zbyt skąpo obdarowujemy artystów!

Bo nadszedł już czas, że festiwale piosenki przestały być miejscem uroczyście celebrowanych misteriów, gdzie śmiech i żywa reakcja były źle widziane, nie należały do dobrego tonu. Nareszcie publiczność na festiwalach bawi się, śmieje, z przymrużeniem oka traktuje niewypały, których przy tak wielkich imprezach nie da się uniknąć, a zaproszona do wspólnej zabawy — śpiewa! To jest chyba jeden z największych sukcesów, od szeregu lat organizowanych festiwali piosenki tak w Opolu, jak i w Sopocie.

„Sopot 67" — ujawnił jeszcze jedną cechę, której przez długi okres nam odmawiano: świetnego organizatora. Od początku festiwalu odczuwało się pracę komisji artystycznej i organizacyjnej. Świetnie ułożone programy koncertów od inauguracji recitalem znakomitej Catherine Valente po finał, nie mniej udanym występem Udo Juergensa. Niemała w tym zasługa nowej pary konferansjerów: wytrawnego w bojach estrady i piosenki Lucjana Kydryńskiego i Lucyny Winnickiej, która czyniła jakoby honory pani domu z wdziękiem i kobiecym ciepłem.

W muzyce poważnej — twórczości i wykonawstwie — Polska należy do czołówki światowej. W świecie muzyki rozrywkowej o nas jeszcze się nie mówi. W czasie sopockiego festiwalu polska piosenka wyraźnie górowała nad morzem przeciętności i sentymentalizmu — nowoczesnością i pięknem. „Sopot 67" — otworzył chyba naszej piosence szerzej bramy na estrady Europy.

MARIA C. GUZIOŁEK

P. S. R. M. ze Stalowej Woli. Informacja agencyjna na temat Angeli Zilli podana była wiosną tego roku na pierwszych kolumnach codziennej prasy centralnej.

Dana Lerska wyśpiewała dla twórców piosenki „Po prostu jestem", kompozytora Sławińskiego i autora tekstu Młynarskiego „Bursztynowego słowika".

Na zdjęciu: Dana Lerska i Wojciech Młynarski na Festiwalu „Sopot 67".

Fot.: wg zdjęcia

Największa książka świata

75 cm długości, 65 cm szerokości, 210 kg wagi — oto dane największej książki na świecie. Jest nią tekst Apokalipsy św. Jana wydany przez francuskiego wydawcę dzieł sztuki Josepha Foreta kosztem jednego miliona dolarów. Opracowanie tej książki-giganta trwało trzy lata (1959 — 1961). Obecnie wędruje ona po wystawach w różnych krajach.

Tekst jest pisany ręcznie na 150 kartach pergaminowych w siedmiu językach: po francusku, łacinie, grecku, angielsku, rosyjsku, niemiecku i hiszpańsku. Dzieło to ilustrowali wybitni artyści — Bernard Buffet, Salvador Dali, Leonor Fini, Ossip Zadkine, Georges Mathieu.

Książka jest chroniona w drewnianej szkatule, której wieko wykonane zostało w brązie przez Daliego i pokryta jest złotem oraz wysadzana drogimi kamieniami.

(KT-PAP)

Jelenia Góra zaprasza amatorów

● IV Przegląd Piosenki i Muzyki
● Turniej Recytatorski

Spółdzielczy i Międzyzakładowy Klub „Kwadrat" w Jeleniej Górze jest organizatorem dwóch imprez o zasięgu ogólnopolskim. Od czterech lat w październiku spotykają się tutaj soliści i zespoły amatorskie, by wziąć udział w „Jeleniogórskim Święcie Piosenki i Muzyki". Impreza nabiera rozmachu i z roku na rok szczyci się coraz większym udziałem tak amatorów — piosenkarzy, jak i amatorskich zespołów muzycznych.

IV Przegląd Piosenki i Muzyki „Jeleniogórskie Święto Piosenki i Muzyki" odbędzie się w **dniach 15-22 października br.** w salach klubu „Kwadrat" przy ul. Grunwaldzkiej 2 i tam należy kierować zgłoszenia uczestnictwa. Klub przeżywa obecnie 10-lecie istnienia. Trzeba się spodziewać, że imprezy w roku jubileuszowym nabiorą szczególnie odświętnego blasku.

* * *

We wrześniu Jelenia Góra obchodzi Święto Ziemi Jeleniogórskiej. Jednym z głównych punktów uroczystości jest Ogólnopolski Turniej Poetycki o Laur Jeleniej Góry. Turniej odbędzie się już **17 września br.** Organizatorzy zapraszają do turnieju o laur „Jelenia Góra — 67" wszystkich miłośników poezji — amatorów. Warunkiem uczestnictwa jest przygotowanie 3 utworów poetyckich, z uwzględnieniem poezji radzieckiej lub rosyjskiej.

Zwycięzcy prócz lauru i dyplomów pamiątkowych, otrzymają cenne nagrody, które ufundowały jeleniogórskie zakłady pracy.

M. G.

Jerzy Walawski

„Uomo sensa lettere"

Wysłuchałem kiedyś odczytu przemiłego filozofa. Mówił na temat bohaterstwa — kwieciście, wartko i z powoływaniem się na autorytety. Płynnie, gładko i... głupio mieszając cywilną odwagę z bohaterstwem wojennym, intelekt z popędami, głupotę z instynktem samozachowawczym.

To był zawodowy filozof, utytułowany, przekonany dogłębnie o własnej wartości, czyli filozof w pełnym tego słowa znaczeniu, wykształcony tak gruntownie, przesycony erudycją do tego stopnia, że czuł się zwolniony od obowiązku myślenia. Widuję go czasami na ulicy z obszerną teczką pod pachą, w której dźwiga swój światopogląd, swoją moralność, intelekt i błyskotliwość wraz ze skorowidzem wielkich nazwisk. Przypuszczam, że w najbliższym czasie popełni wspaniałą rozprawę naukową, może na temat „Cymbergaj a egzystencjalizm", sądzę, że dla przeprowadzenia wstępnych badań wyjedzie na parę miesięcy za granicę. W grę wchodzi oczywiście strefa dolarowa...

Nie popieram nieuctwa, słowo „nieuk" kojarzy się z głupotą, ograniczonymi horyzontami umysłowymi, czasami z małpim sprytem, co bywa szczególnie szkodliwe społecznie. Ośmielam się jednak, że wcale nie są jednoznaczne określenia „nieuk" i „niewykształcony", gdyż ten drugi wcale nie musi być głupcem.

Niewykształcony po włosku „uomo sensa lettere" — to zarzut, z którym spotykał się już Leonardo da Vinci. Tępiony przez nadętych, utytułowanych zarozumialców pisał: „...wiem dobrze, że ponieważ nie miałem odpowiedniego wykształcenia, niektórzy ludzie w swym zarozumialstwie będą mnie odtrącali jako niewykształconego. Idioci będą mówić, że ponieważ nie mam wykształcenia, nie jestem zdolny do należytego, pełnego wypowiedzenia się na temat przeze mnie obrany".

O przeciwnikach Wielkiego Leonardo dawno już zapomnieli ludzie, ale ten „niewykształcony" wszedł do historii ludzkości, jako niedościgły artysta i wynalazca, bo prócz wykształconych są jeszcze ludzie mądrzy i ludzie genialni, o czym dość często się zapomina. Oczywiście były to inne czasy, oczywiście dziś nie do pomyślenia jest, ażeby bez ukończenia studiów uniwersyteckich zasłynął ktoś jako genialny atomista, architekt, psychiatra. Dwudziesty wiek nie sprzyja samorodnym geniuszom, bo mądrość w naukach ścisłych jest potrzebna, ale niewiele znaczy bez wykształcenia. Jednak mimo nauk ekonomicznych jest jeszcze mądrość ekonomiczna, zdrowy rozsądek i gospodarność, a prócz rozlicznych fakultetów z dziedziny kultury jest jeszcze człowiek obdarzony kulturalną intuicją, znakomity malarz czy pisarz, twórca kultury bez tytułu doktora historii sztuki. Jest wreszcie człowiek kulturalny nie nobilitowany dyplomem i może nim być mechanik i tokarz, krawiec i stolarz, hutnik i ekspedientka z MHD.

Niestety, coraz częściej słyszy się nawoływania o ludzi wykształconych, coraz rzadziej o mądrych. Nie popieram nieuctwa. Znam nieuków, którzy są ponadto tęgimi głupcami, ale znam również gorszy gatunek głupców utytułowanych, którzy są o wiele bardziej szkodliwi, gdyż zajdą dalej, zwodząc ludzi dyplomem. Iluż jest takich, którzy osiągnąwszy upragniony tytuł przestają pracować nad sobą i dają się wyprzedzać tym bez tytułów?

Zwężające się specjalizacje pracują dla dobra cywilizacji, ale na niekorzyść zdrowego rozsądku, który nie podparty wyliczeniami autorytetów przestaje się zupełnie liczyć. Zwężające się specjalizacje nie tylko w naukach technicznych, ale także w humanistycznych, a to już grozi dehumanizacją.

I mam już dziś poważne wątpliwości, kto jest bardziej humanistą — biolog, który zajmuje się zagadnieniami genetyki, śledząc pod mikroskopem chromozomy, walcząc o zdrowie ludzkości, czy specjalista od patroszenia wierszy i to określonego typu. Mam poważne wątpliwości szczególnie w odniesieniu do nauk humanistycznych, gdyż obawiam się, że coraz więcej mamy wyspecjalizowanych humanistów, wykształconych tak dogłębnie, że w ich mózgach nie ma najmniejszej luki, w którą mogłaby się wkraść myśl własna. Patrzcie, jakim językiem bywają recenzowane głupie, płytkie, niewarte wzmianki książczyny! Jak pracowicie zaprzęga się do interpretowania tych wypocin całe plejady filozofów. Myśleć, to znaczy wątpić, analizować, szukać — z tych wszystkich czasowników tylko jeden wydaje się być ważny dla niektórych, ten ostatni. Ich dewizą jest „szukać i kleić", nie swoje myśli, tylko cudze oczywiście!

Przetoczyła się swego czasu przez łamy prasy dyskusja na temat „Greka Zorby" i mało kto dostrzegł sens filmu, który nie jest przede wszystkim pochwałą dionizyjskiego kultu życia, ale rozprawy z humanizmem nieludzkim. Pracodawca Zorby — pisarz i eseista, więc humanista nigdy nie widział z bliska człowieka, nie umiał postępować z ludźmi. Jego eseje były niewątpliwie pełne złotych myśli, szlachetnych uczuć, ale on sam przynosił swoim postępowaniem nieszczęście. Umierali ludzie, których starał się uchronić, waliły się przedsięwzięcia, które podejmował... On sam był postacią tragikomiczną, ale skutki jego działalności były już tragedią.

Dehumanizacja, o paradoksie, nie jest w tej chwili dziełem techników, ale humanistów, którzy oscylując pomiędzy lękiem a zabobonnym podziwem dla techniki — wynikającym z niewiedzy technicznej, żenującej czasami niewiedzy — wyrzekli się walki z ujemnym wpływem skutków cywilizacji na człowieka, ale pozazdrościli technice jej precyzji i ścisłości. Maluczko, a do rozbioru wierszy zostaną zaprzęgnięte równania różniczkowe i komputery. Maluczko, a o pięknie obrazu będzie się mógł wypowiadać autorytatywnie spec od krytyczno-plastycznej maszyny — mizerna to pociecha dla twórców i publiczności.

Boję się o los tak ludzkiej cechy, jaką jest mądrość i zdrowy rozsądek, boję się bardzo. Może się tak zdarzyć, że za tysiąc lat będziemy wykształceni tak gruntownie, wyspecjalizowani tak wąsko, że nikt już nie potrafi myśleć.

Jan Leżachowski

MORZE JEST TWOJE

Siedzi z wypukłym, zachodzącym wysoko we włosy czołem i zagadkowym uśmiechem.

— To powiada pan, że o Cocteau?

— Absolutne męty: nawet się nie podpisał. „Zdobywszy świadomość siebie samych, jako Jaźni, stajemy się równocześnie świadomi wszelkiej działalności, w której jako Jaźń bierzemy udział". I tak dalej, w tym samym stylu.

— Rzeczywiście dziwny artykuł.

Ma białą i długą, okoloną płową słomą, ludzką twarz; nad prostym nosem rogowe okulary. Opadają mu raz po raz i wskazującym palcem przesuwa je na miejsce. Przychodzi zawsze w czarnej koszuli, w nie zmienianej — od kiedy go pamiętam — marynarce. Siedzi zwykle godzinę, wypija trzy kawy, nakłada kaszkiet i wychodzi. Jedni nazywają go szaleńcem, inni geniuszem. Czy prawda leży po środku, nie wiem.

— Pracuję teraz nad nową rzeczą. Planuję czterysta stron. Przeprowadziłem, w ramach wstępnych prac, ponad milion syntez. Zadziwię pana — rozprawiam się w niej z filozofią Kanta. W tej chwili zbudowałem taki aparat intelektualny, że mogę sobie poradzić z najtrudniejszym zagadnieniem. Wie pan: podmiot warunkuje przedmiot, a pojęcie warunkuje doświadczenie. Chytry jegomość; ale rozbiję jego subiektywny czas i subiektywną przestrzeń. Trzeba mi tylko kilka miesięcy czasu. Europa wkrótce zobaczy, jak z tego pana poleci pierze.

— Myślę, że... — usiłuję się wtrącić.

— Właściwie, mógłbym to zrobić wcześniej. W kilka tygodni. Ale skończyły się czasy prywatnego mecenatu — trzeba zarabiać na życie. Posiedzę w najbliższych dniach przy maszynie i zrobię powieść. Będę musiał popertraktować z wydawnictwem: niech dadzą od razu przełożyć na kilka języków; tak, żeby się całkowicie zabezpieczyć finansowo i poświęcić wyłącznie filozofii.

— Myślę, że...

— Zadziwię pana: rozmawiałem z kilkoma kolegami z Uniwersytetu Warszawskiego, czytałem im fragmenty. — Ty jesteś szatan — mówili. — Jak mogłeś na to wpaść?

— Pan wspomniał...

— Na świecie jest wiele spraw ledwie zarysowanych: parapsychologia, psychocywilizacja, filozofia kosmosu. Trzeba tylko umieć zadawać pytania. Pisarz XX wieku powinien być nie wyławiaczem niezwykłości z codziennego życia, ale myślicielem. Już właściwe ustawienie pytania kwalifikuje człowieka; pisanie to umiejętność zadawania pytań.

— Myślę, że...

— Musi pan ćwiczyć w sobie umiejętność robienia syntez, ćwiczyć mózg w angażowanie przy myśleniu coraz większej ilości komórek. Zadziwię pana: gdyby było można wprząc do pracy cały mózg, powstałyby dzieła, które dałyby się czytać z zainteresowaniem i pożytkiem jeszcze za tysiąc lat. Ale pracuje tylko część naszego mózgu; reszta przepada w bezsłownych obszarach przeczuć i przewidzeń. Ludzie nie umieją myśleć wielowarstwowo. Napoleon podobno potrafił prowadzić równocześnie trzy pasma. Ja, na ogół, pracuję czwórką; a mam dnie, może to pana zadziwi, że wrzucam dziesiątkę.

— No cóż, są dziwy na niebie i na...

— Więc mówię panu: synteza, synteza i jeszcze raz synteza. W historii literatury był dotąd tylko jeden pisarz, który doprowadził technikę syntezy do perfekcji: Dostojewski. Nie, nie! Wiem co pan chce powiedzieć. Faulknerowi daleko do Dostojewskiego. Owszem, on wie także gdzie znajduje się jądro, ale przedstawia je opisując otaczającą to jądro ciemność; jądro, proszę pana, leży za tą ciemnością. A Dostoj ją przeszedł. Niech pan przeczyta jeszcze raz przypowieść o Wielkim Inkwizytorze.

Przecieram spocone czoło, zaciskam oczy.

— Czy gdyby...

— Niech pan się nie boi murów. Są po to, żeby je rozbijać. Wymyślać coraz nowsze machiny syntezy i rozbijać. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Gdzieś przy dziesiątym usłyszy pan szum. Ledwie dostrzegalny — tak, że nie będzie pan wiedział czy to przeszedł wiatr, czy poruszyła się woda — szum dalekiego morza. Bo ono jest. Obszar, w którym zbiegają się nici wszechświata, w którego kłębku tkwi odpowiedź na pytanie o sens materii. Świat, proszę pana, można sprowadzić do równania. Nie — matematycznego, do równania filozoficznego. I równania — w mikrokosmosie. Żeby pan to zrozumiał: życie — prawda? — jest dla nas sposobem istnienia białka. Ale może być również — dla innych światów — sposobem istnienia związków krzemowych, piroksenowych i tak dalej, i tak dalej. Równość istnienia zaczyna się dopiero w atomie: martwym, wiecznym ruchu elektronów wokół ośrodka. A więc, równość materii spoczywa w jej zimnej, martwej postaci. To, że żyjemy...

— Zaraz. Pan...

— To, że żyjemy, jest wybrykiem materii. Dziwi się pan. Tak, wybrykiem. I skoro... Skoro żyjemy, musimy wiedzieć dlaczego. A jeśli to wszystko jest pędzącym na łeb na szyję chaosem i prawa naszej fizyki obowiązują tylko w otaczającej nas meta-metagalaktyce? Gdyby, na przykład, z nieskończonej, opartej swoją podstawą na ziemi wieży rzucić kamień i na tym kamieniu przez dziwny przypadek, powtarzam — przypadek, wytworzyło się życie, zamieszkujące kamień homonkulusy też, niewątpliwie, odkryłyby prawa rządzące ich globem: kamieniem, który się wkrótce roztrzaska...

— No dobrze, ale...

— Tak, skoro żyjemy, musimy wiedzieć dlaczego. Nawet wtedy, jeśli odpowiedź na to pytanie będzie przerażająca. A odpowiedź gdzieś jest. I ja ją, mam wrażenie, aproksymuję. Gdzieś za piętnastym albo dwudziestym murem, w morzu, o którym panu mówiłem. Tylko, że tam, jak w podświadomości, nie ma już słów. Tam się przewala naga miazga, skrzypi oś meta-meta-metaprzestrzeni. Tam kiedyś był Bóg!

— Jestem ogromnie...

— Czasem, kiedy włączam wszystkie możliwe do włączenia komórki mego mózgu, zdaje mi się, że słyszę. Szumi nieśmiertelną jasnością, wrzącym pędem, nieskończonym darem otwierania swoich skrytek. Trzeba tylko bardzo chcieć do nich zaglądnąć.

— I pan...

— Proszę się nie bać murów — odpowiada. — Są po to, żeby je rozbijać... Jest morze. — Poprawia okulary i wstaje. Zamawia następną kawę. — Zmęczyłem pana?

— Nie. Pan wie, że lubię pana słuchać. No, uciekam. Do widzenia.

— Kiedy pan wpadnie do klubu następnym razem?

— Nie wiem. Mam teraz dużo pracy. Może w sobotę.

— To do soboty.

Świeci ciche, przezroczyste słońce, kładą się wodniste cienie. Na trawniku przed kawiarnią wiatr kręci z suchych źdźbeł maleńkie leje. Płoną ruchliwym srebrem brzegi ciemnych chmur: zachodzą na siebie, zmieniają położenie; tam wysoko musi wiać także wiatr: i silniejszy niż na ziemi.

Na straganach czerwienią się stosy pomidorów, błyszczą dojrzałym złotem jabłka i gruszki. Mijam je obojętnie, zasłuchany jeszcze w potok tamtych słów — potok o szumie dalekiego morza i jego jedynie wielkim świetle; słów szybkich, nieznoszących sprzeciwu, pewnych swoich racji.

— Mury są po to, żeby je rozbijać — powtarzam w myśli.

* * *

Tyka zegar. Gładko i równomiernie, jakby ktoś przesypywał drobne delikatne ziarna. Znowu upłynęła minuta.

Znowu i znowu. Żeglujemy po ciemnych obszarach, trwa cisza: stężała cisza bezmiaru i trwa to przesypywanie. — „Co wyrośnie z tych ziarn? Kto o nich mówił? Jak mówił? Jakim głosem?".

Przestało padać. Patrzę w pokryte świetlnymi punktami niebo. — „Kto je porozrzucał?" — Niedługo wzejdą Plejady: niepozorny i wspaniały gwiazdozbiór października. — „Same pytania. Wszystko, proszę pana, pędzi i pędzi; to nie jest upadanie — tu nie ma kierunku. Zapalają się i ziębną gwiazdy, coś się rodzi i umiera. Co było — jest w skutkach, co będzie — jest w przyczynie; j e s t. W kosmosie nie ma czasu, albo inaczej: w kosmosie czas to słowo. Tylko pęd, nieskończony, szalony ruch. Co znaczy milion? Ten migocący orzeszek nie istnieje od miliona. A światło biegnie. I będzie biec jeszcze milion. Specjalnie, proszę pana, opuściłem „lat". Czy pan czuje teraz bezsens tego „milion"? Padał deszcz, opadł. Pamięć ludzka nie jest bezpojemna. Za „milion", być może, nikt nie będzie wiedział co oznacza „Homer". Zresztą, może już wtedy nie będzie Ziemi... Ja, proszę pana, nie jestem katastrofistą. Wierzę w inne Ziemie. A mówię to dlatego, że należy szukać. Tylko szukanie jest niezłomnie piękne. Szukanie na przekór obojętnej materii, na przekór sobie. O, spada liść, spadł. A jednak szukanie".

O asfalt znowu pluszcze ulewa. Chce mi się z kimś porozmawiać o wiośnie: szerokim, pełnym nadziei polu i miedzach, które zdają się być nigdy nie tknięte stopą człowieka i które nagle ukazują przestronną, wydeptane grzbiety. Jestem sam na sam z pustym pokojem, nocą i deszczem. — „Maria przyjedzie pojutrze". — Przypominają mi się upalne płachty lata: szedłem nad huczącym morzem, stał wyniosły księżyc, świeciła cienkim własnym światłem plaża; przede mną szedł czarny cień dziewczyny. Zrównaliśmy się, szliśmy dalej, milczeliśmy dalej. Przy falochronach zawróciliśmy, znowu dzieliliśmy się tylko milczeniem. Na wprost mego namiotu skręciłem w lewo. Szła ciągle, coraz szczuplejsza i rozmazująca się w ciemności, wreszcie — chciałem zawołać, nie zawołałem — stała się tamtą ciemną dalą. Dopiero później, za tydzień, staliśmy na pomoście, zawieszeni między falą a niebem i poczułem, że drży od chłodu gwiazd i tej osobności: narzuciłem jej na ramiona płaszcz.

— Na imię mi Maria.

— Kocham cię, Mario. — Zdawało mi się, że powiedziałem to dużymi literami.

Trzymałem ją teraz za przegub; pod palcami uderzała jej krew, niosła nieznane ciepło. Mrugała latarnia, połyskiwało morze, płynął daleko melancholijny ryk syreny. Wracaliśmy znowu milczący. Na wprost mego namiotu skręciliśmy w lewo: odchyliłem płótno.

— Wejdź.

— Zdejm mi sandały.

Miała kruche policzki i łagodną szyję. Hałasowało radio, brzęczały menażki. A mnie się zdawało, że jest ogromna cisza. Taka cisza, że słychać jak od szarzejących ścieżek i wynurzanych w pyle ścian namiotu odrywają się maleńkie cząsteczki i wraz z odpływem morza pędzą do czerwonego księżyca. I słuchałem równocześnie wzbierającego szelestu jej krwi.

— Zostaniesz?

— Zostanę.

Dookoła wszyscy już spali, a ja jej opowiadałem. Nie zauważyliśmy kiedy przyszedł świt. Różana świeżość powlokła ściany namiotu, zaśpiewał piasek. Wyszliśmy nad wschodzącą kruchym światłem wodę. Do brzegu pędziły grzebienie pian, o twarze ocierało się rodzące się słońce.

— Kocham cię — powiedziała. — Też cię kocham.

Wróciliśmy do namiotu. A potem było we mnie szczęśliwe zdziwienie i opadanie. Szalone opadanie w słoneczną ludzką nieskończoność.

— Jest cudownie tak wiedzieć o sobie.

— Jest.

— A morze jest twoje. Morze jest tylko twoje.

— Może. I ty.

— I ja.

Tyka zegar, szeleszczą jesienne liście. Za oknem pada morze: młody, gorący deszcz.

Jan Leżachowski

Jan Czopik - Leżachowski urodził się 1 II 1938 roku w Leżachowie na Rzeszowszczyźnie.

Po ukończeniu liceum ogólnokształcącego w Jarosławiu pracuje przez rok jako nauczyciel w Majdanie Sieniawskim, potem przenosi się do Wrocławia, gdzie studiuje i równocześnie pracuje; jest absolwentem historii sztuki. Debiutuje w roku 1957; drukuje m. in. w „Poglądach", „Współczesności", „Odrze". W roku 1962 ukazuje się nakładem Ossolineum zbiór jego wierszy pt. „Oko jedno i drugie", w dwa lata później powieść „Zabrońcie się żegnać" nakładem Wyd. Iskry. W tym samym wydawnictwie ukaże się w przyszłym roku powieść pt. „Dolina dzwonów". Przed rokiem Wyd. Ossolineum wydało jego drugi tom wierszy pod tyt. „Jest poranek".

Piotr Żbikowski

Przypomnienie

To było dawno. Gdy gwiazdy wybuchły nad nami
I wysoko zawisł księżyc jak załzawione oko sarnie
Gdy ulice dalekie i wysmukłe pobiegły srebrnymi szpadami w dal

A nas otoczył głęboki cień leżących na wargach słów

Gałęzie splątały nam ręce i cisza szumiała jak rzeka
Zziębnięte ławki tuliły się do mokrych drzew
Wierzby obmywały swe włosy w ciemnym fiolecie zmierzchu
A liście drżały z zimna i tłumionego wzruszenia

Ta chwila zostanie w mych dłoniach aż do końca
Jest jak wiecznie szumiąca muszla wyjęta z piasku dni
Jest jak niebo wstrzymane w pędzie nad koronami lip
Jest jak pas ciszy wokół przylądka mych wspomnień

U naszych przyjaciół ZSRR

Ostatnio w Moskwie przedstawiciele dziesięciu krajów socjalistycznych opracowali plan wydawniczy na najbliższe lata. Czołowe miejsce w działalności wydawniczej poświęcono literaturze, związanej z 100 rocznicą urodzin W. I. Lenina, 150-rocznicą urodzin Karola Marksa, 25 rocznicą zwycięstwa nad faszyzmem i ustanowienia władzy ludowej w europejskich krajach socjalistycznych. W czasie pięciodniowej narady omawiano również wyniki współpracy domów wydawniczych i tłumaczy oraz poinformowano o przygotowaniach do międzynarodowej wystawy książek, która odbędzie się w Lipsku w 1971 roku. W naradzie uczestniczyli przedstawiciele instytucji wydawniczych krajów socjalistycznych m. in. z Polski, którzy brali udział w otwarciu międzynarodowej wystawy książek w Moskwie.

Z okazji 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej Wydawnictwo Polityczne Ukrainy wypuści z druku serię szkiców o miastach bohaterach: Kijowie, Sewastopolu i Odessie.

Wyszła już pierwsza książka z tej serii pt. „Bohaterski Sewastopol", która opowiada o bohaterstwie żołnierzy radzieckich i obywateli Sewastopola, którzy w latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej zapisali się w chlubnych kartach półwiekowej historii Kraju Rad.

W ramach obchodów 50 rocznicy Rewolucji w ZSRR eksponowana jest wystawa pt. „Artyści Moskwy" — 50 rocznicy Października. Na wystawie zgromadzono 2 200 prac wykonanych przez 175 artystów malarzy, rzeźbiarzy, grafików, reżyserów teatralnych i filmowych. Tematyka prac wiąże się z Rewolucją Październikową, działalnością W. I. Lenina, bohaterską walką ZSRR w czasie II wojny światowej, oraz walką ZSRR o pokój w świecie.

Duża grupa ukraińskich śpiewaków, tancerzy i muzyków przebywa w Kanadzie, aby uczestniczyć w dniach ZSRR i Ukrainy na Światowej Wystawie „Expo-67" w Montrealu. W skład grupy wchodzą m. in. artyści ludowi ZSRR D. Gnatniuk i E. Miroszniczenko, artysta ludowy USRR J. Gulajew, trio bandurzystek przy Filharmonii w Kijowie, zasłużony chór ludowy im. G. G. Bierewki.

Opr. Henryk Róg

Propozycje dla... operatywniejszego

(Ciąg dalszy ze str. 3)

szych, wyzwala wiele interesujących pomysłów, ujawnia wciąż nowe, w zasadzie zapomniane już zwyczaje ludowe. Słowem — wzbogaca folklor.

W tym miejscu trzeba wspomnieć i o tym, że impreza ta jest finansowo — samowystarczalna. Organizatorzy pokrywają zespołom koszty przejazdu i wyżywienia. Opłacają też druk plakatów, programów i zaproszeń. Pokaźny dochód dają im natomiast karnety wstępu (wszystkie rozsprzedane) i procent od handlowców, którzy w ramach imprezy handlują, i to wcale nieźle, wspomnianymi już potrawami i napojami regionalnymi. Oczywiście, nie można zapominać o tym — że organizacja całej imprezy spoczywa w rękach społecznego (i pracowitego — przyp. J.W.) aktywu s p o ł e c z n e g o!

Dlaczego o tym piszę na łamach „Widnokręgu"? Przyczyna jest prosta! Dużo piszemy i mówimy o rozwoju naszych bieszczadzkich miejscowości, o ich walorach wypoczynkowych... I właśnie dlatego, na przykładzie Wisły, pragnę przypomnieć gospodarzom tych miejscowości, że sama piękna okolica i walory klimatyczne wszystkiego nie załatwią. Tak samo jak zakłady gastronomiczne, które w zależności od poziomu, wyposażenia i kultury obsługi podzielone są na kategorie — dzieli się miejscowości wypoczynkowe. Aby zdobyć rangę modnego kurortu nie wystarczy... pobierać opłatę klimatyczną. Uważam, że podobna impreza bardzo by się naszym „kurorciątkom" przydała.

Festiwal Kulturalny Związków zawodowych najlepiej chyba wykazał bogactwo folkloru Rzeszowszczyzny. Mamy najlepsze w kraju kapele ludowe, doskonałe zespoły pieśni i tańca, nielicznych w kraju cymbalistów. Czy nie warto by zorganizować dorocznego spotkania najlepszych z najlepszych np. w którymś z miast bieszczadzkich? W Ustrzykach Dolnych, Lesku, Sanoku...? Przecież mały Dynów udowodnił nam w br., że podobną imprezę można zorganizować!

Dlatego naszą propozycję poddajemy pod dyskusję działaczom k.o. tych miast. Które będzie najoperatywniejsze?

JULIAN WOŹNIAK

Rys. J. SIENKIEWICZ

Cecylia Błońska

Sierociniec w przedsionku piekła

— Siedmioletni Detlev umieszczony został przez matkę w sierocincu, prowadzonym przez siostry zakonne. Jest wojna. Hitlerowskie Niemcy gnębią i mordują ludzi. Na hitlerowskie Niemcy raz po raz spadają bomby. W sierocińcu znalazły się dzieci, które przeszły już piekło bombardowań, ich ojcowie padli na polu wątpliwej chwały, szalejący nazizm nie oszczędził ich rodzin. Matka Detleva — Niemka, protestantka, po raz ósmy już musi zmienić mieszkanie, porzuciła kochających rodziców. Jest ścigana.

Tak można by streścić *„Sierociniec"* powieść *Huberta Fichtego, debiut literacki wyróżniony nagrodą im. Hermanna Hessego.*

Obok interesujących pozycji literatury niemieckiej, jak „Niestrzeżone progi" Heinricha Bolla, „Całe miasto mówi" Siegfrieda Lenza, „Kroki w labiryncie" Paula Schallucka, „Pan Tourel" Otto F. Waltera, książka Fichtego, w przekładzie Eddy Werfel ukazała się obecnie nakładem „Czytelnika".

Nie w akcji jednakże dość ubogiej, rozgrywającej się w murach sierocińca, pisarz zlokalizował frapujące treści. To, co przeżywa Detlev, którego ojciec zmuszony był do ucieczki z Niemiec zanim zdążył poślubić ukochaną kobietę, można by jeszcze zmieścić i w innych sierocińcach. Ale zapiekłe okrucieństwo, z jakim odnoszą się do siebie dzieci nie samo zrodziło się w ich mózgach czy sercach. W rozbitych bombami miastach i wsiach dziecięcymi oczyma oglądali egzekucje, zbrodnie i dostatecznie nasłuchali się o rozmaitych śledztwach, by nie próbować z kolei tych strasznych zabaw, urozmaicając sobie smutek sierocińca gnębieniem, zastraszaniem słabszych od siebie.

Detlev z miejsca podpada przez swą odrębność, i z miejsca staje się przedmiotem prawdziwego dochodzenia ze strony swych kolegów. Mały Alfred pyta np.:

— Dlaczego jesteś w sierocińcu?

— Moja matka nie może dostać pokoju dla nas obojga.

— Mimo że jest w partii?

— Może nie jest w partii.

— Jeżeliby uczciwie pracowała, toby dostała pokój dla was obojga. Może z nią jest coś innego nie w porządku? Dlaczego ty masz takie duże uszy?

— Wcale nie mam dużych uszu...

Przedwcześnie postarzałe dzieci wiedzą już dostatecznie dużo, by ich dzieciństwo raz na zawsze zostało unicestwione. Po indagacji Detleva opowiadają sobie o żandarmie Krieglu, który w piwnicy ratuszowej chłostał Polaków szpicrutą nabijaną stalowymi gwiazdkami.

Uczestniczą też we wszystkich ceremoniach pogrzebowych, jakimi poległych hitlerowców żegna się w miasteczku. Czynią makabryczne odkrycie: z poległych dzielnych żołnierzy czasem nie zostaje nic oprócz odrobiny skóry i włosów, guzika i woreczka na szyję. Detlev rychło dochodzi do ponurej prawdy, że zamiast trumien z poległymi na ratuszu wystawiana jest tylko pusta makieta, okryta suto kirem.

W tym przytułku zlokalizowanym w przedpolu piekieł wychowankowie bawią się zabawkami sławiącymi skromną, pracowitą młodość Hitlera. *„Nasz fuehrer był murarzem" było napisane na niebieskiej chuchance. Wizerunek fuehrera był wydrukowany na obrazku żółtawymi kreskami. Fuehrer spoglądał w górę ku nie dokończonemu domowi. Belki sterczały w powietrzu. W otworach okiennych nie błyszczały szyby. Na dachu stała wiecha z powiewającymi szarfami. Sztandary łopotały za plecami fuehrera. Fuehrer pochylał się do ucznia".*

W ojczyźnie fuehrera bomby raz po raz padają na miasta, a na pola klęski „ze wszystkich stron nadchodzą kapitanowie i zbierają głowy, nogi, woreczki na szyję, ordery, hełmy, szarotki i goryczkę do dużych trumien... Ręce i nogi leżą nadal w śniegu. Ojcowie biegną przez białe pole. Głowy im odpadają. Kule przebijają im brzuchy. Krew spływa na śnieg...".

Ci, którym udało się ujść śmierci, okaleczeni, w wielkich bandażach, podobni do potwornych kukieł, razem z sierotami aranżują w sierocińcu smutne jasełka.

W otchłani dziecięcego nieszczęścia i nie dziecięcych starczych rozpaczy, tylko matka Detleva odważna, rozsądna, skromna i cicha, z ufnością przeczekująca swój dramat, jest postacią na wskroś realną. Fichte wyraźnie zresztą sugeruje czytelnikowi, że ona właśnie przetrwa, że jej synek, którego z takim trudem ocala od hitlerowskiej zagłady, gdyż jego ojcem był Żyd, również przeżyje wojnę i jemu właśnie przypadnie w udziale budowa nowego ładu.

To nic, że matka traktując go jak dorosłego ujawnia mu całą prawdę, a on niczym dojrzały świadomy niebezpieczeństwa człowiek zaraz widzi *„nadciągający pochód wysokich barczystych grubych mężczyzn w białych hajdawerach i białych kurtkach obszytych futrem, wymachujących długimi mieczami w powietrzu".*

To nic, że i dziecko, i matka w bombach spadających na ich okrutny kraj widzą możliwość ocalenia. Dlatego właśnie podążą do Hamburga, że tam są najczęstsze naloty i że ich nieszczęsne akta, w których w podejrzenie poddane zostało pochodzenie chłopca, tam właśnie najprędzej paść mogą pastwą ognia: „może spadnie na nie bomba i nikt ich nie będzie już mógł przeczytać".

„Sierociniec" pisany jest prozą na wskroś współczesną. Autor daleki od hołdowania tradycyjnym konwencjom jakiejkolwiek jedności czasu, miejsca, świadomie łamie prawa chronologii. Fakty nie wypływają bynajmniej jedne z drugich; do starego sierocińca swobodnie przenosi całe obszary spraw i zdarzeń z faszystowskich Niemiec. Metafory Fichtego pulsują treścią ściśle intelektualną: młody (urodzony w 1935 r. w Hamburgu) pisarz, raczej odwołuje się do umysłu i rozumu czytelnika aniżeli apeluje do jego uczuć.

W sumie jest to lektura wstrząsająca. Wbrew sugestiom autora, wobec rozpasanego okrucieństwa bezkarnych zbrodni, szalejącego terroru, niskiego donosicielstwa, jakże szybko deprawującego wychowanków sierocińca, czytelnik nie pozostaje pod wrażeniem optymistycznego zakończenia. Nie wierzy po prostu, że „matka istnieje, że Hamburg istnieje".

Chociaż pragnąłby z całego serca, by było tak jak niemiecki pisarz zapewnia na końcu swej relacji z przedsionka piekieł:

Detlev zbuduje swojej matce w Lokdtedt trwały dom, którego nikt nie będzie mógł rozwalić jak dom z klocków".

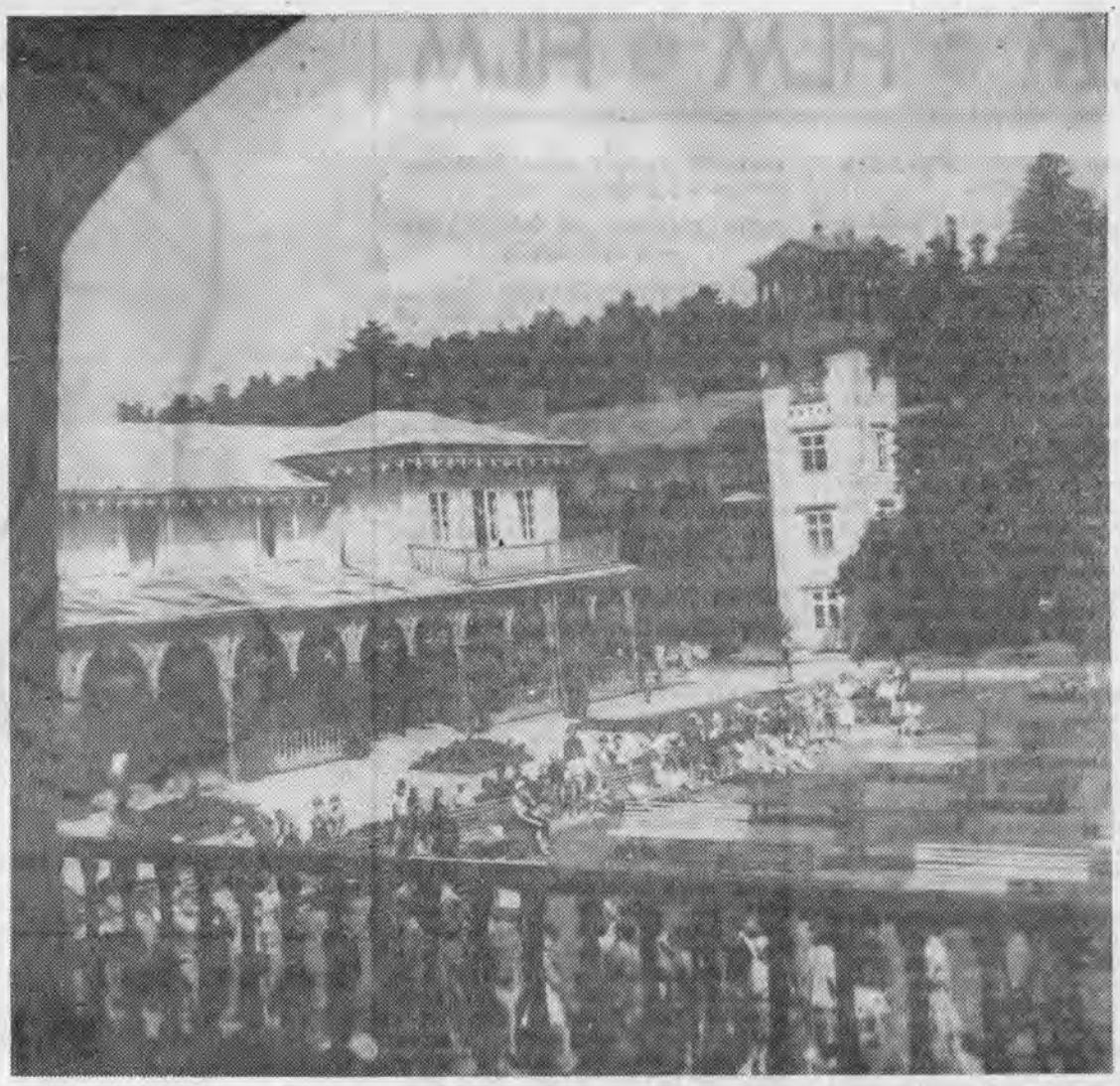

Fot. M. KOPEĆ

WONICZ

Ignacy Witz

„Czarna plastyka"

Istnieje czarna literatura, czarny teatr, czarne filmy, czarny humor. Czarnym nazywamy w kulturze dzisiejszej to wszystko, w czym dochodzi do głosu okrucieństwo, ale też mówi się tu bez osłonek o śmierci. Śmierci masowej lub pojedynczej. Ale nie tylko o śmierci; czarna sztuka sięga i penetruje dość często regiony nazywane: tabu, obala mity, jest przewrotna, a nawet niekiedy perwersyjna. Istnieje czarna literatura, czarny teatr, dramaturgia, czarne filmy i czarny humor. Nie można ich nie zauważyć, głupotą byłoby zaś ich nie uznawać. Nie kusząc się o żadną definicję, ścisłą definicję tej „mrocznej" twórczości, której granice są niewyraźne i zagmatwane, która rzadko kiedy występuje w krystalicznej postaci (a wtedy jest to artystycznie bardzo, bardzo złe), jest bowiem wieloznaczna jak worek, do którego można wszystko wrzucić; trzeba powiedzieć, że intencja, która w ostatnim dziesięcioleciu zrodziła na przykład sztuki Ionesco, Petera Weissa „Marata-Sade", humor rysunkowy Topora, filmy Polańskiego — istnieje, i coś o świecie w końcu mówi. Być może, błędem jest nazywać tendencję tę czarną. Ale nie o nazwy idzie spór i nie o jakiś kieruneczek, lecz o coś, ku czemu instynktownie obracają się spojrzenia najżywszych twórców naszej epoki. Czarna twórczość jest również przeniknięta erotyzmem, przesycona problemami biologii. Erotyka nie jest w niej ani sentymentalna, ani nie osiąga podniecających momentów. Nie ma niczego dalszego w samej rzeczy od pornografii niż ta sztuka okrutna, chociaż czasami może ona pornograficzną się wydawać. O „miłości" mówi tak jak o śmierci, o śmierci jak o miłości.

To, co mówię, pragnąc określać, wydać się może Czytelnikom moim płaskie i trywialne. Niemniej jednak twórczość „czarna" w swych najlepszych przejawach nie bywa nigdy ani płaska, ani trywialna. To tylko modnisie lub wietrzący interes, a przerzucający się na rzeczy „czarne", są płascy, wulgarni i trywialni. W moich felietonach jednak staram się nimi nie zajmować, cenię bowiem u artystów niezależność i wobec siebie moralność, odpowiedzialność.

Była mowa o czarnym, dodajmy w myślach do czarnym zawsze cudzysłów: teatrze, kinie, humorze, literaturze. Ja przecież zawsze piszę o malarstwie, grafice i myślę, że Czytelnicy moi czekali na tę chwilę, w której powiem: plastyka. Otóż tak. Plastyka. Wydaje mi się, że „czarna" sztuka, jest od pewnego czasu i na całym świecie, i u nas chyba, tym najżywszym, najnamiętniejszym, najprawdziwszym, co wyprowadza twórczość z odmętów abstrakcji. Ta sztuka zmuszona jest formułować, a równocześnie zrodził ją czas. Ta sztuka odwołuje się do tradycji, bardzo dawnych, dawniejszych niż średniowieczne, bo jeszcze czasów magicznych sięgających. Ta sztuka jest krzykiem, ale też jest medytacją. Istnieje w niej to, co zawsze było najpotężniejszym motorem malarstwa czy grafiki, a więc refleksja o umieraniu i refleksja o poczęciu i refleksja o świecie, który nas otacza. Niewątpliwa miłość do tego świata i przerażenie, lęk, obsesja katastrofy, degradacji. Odczytywaliśmy to u Breughela i Boscha, Michała Anioła, Rembrandta i Goyi, u Picassa. To dziś nie tylko coś, co oscyluje wokół spadku surrealizmu i schedy dadaistów. To coś, co staje się powszechne i — powiedzmy, to uczciwie — niezmiernie ludzkie. My mamy takich artystów, był takim, Witkacy, Schulz i Bronisław Linke, ale są, tworzą obok nas nowi, często zdumiewający: Zdzisław Beksiński z Sanoka, Jacek Gaj z Krakowa, Eugeniusz Markowski, może nawet mimo całej niechęci, jaką — nie wiem słusznie czy niesłusznie doń odczuwam — Jerzy Krawczyk i dziesiątki innych, wśród których będą i Mieczysław Wejman, i Józef Gielniak, jeden bardziej wprost, drugi w sposób metaforyczny, mówiący o tym samym: istnieniu, zagładzie, człowieku.

W tej sztuce można odnaleźć niezwykle namiętny stosunek do życia, brak obojętności lub zasklepienia się. Zasklepienia się, każącego na kwadracie płótna ładnie kojarzyć lub programowo nieładnie kojarzyć kolory, a nieważne już, czy na schemacie czegoś, co rozpoznawalne, czy też bezprzedmiotowe!

Jalu Kurek: KANTATA PROFESORA WRÓBLA. Wyd. II. Wyd. Literackie, s. 224, cena 12 zł.

Temat dziś modny w prasie, radiu i telewizji. Ludzie starzy. O takim starym człowieku, który próbuje nawiązać kontakt z otoczeniem, który nie chce zejść na margines życia...

Karol Koźmiński: GENERAŁ KRUK. Opowieść z czasów Powstania Styczniowego. MON, s. 251, cena 12 zł.

Syn Szweda i Francuzki generał Michał Heydenreich „Kruk", postać mało dzisiaj znana, a przecież jest to jeden z najwybitniejszych dowódców powstania, zwycięzca spod Żyrzyna, uczestnik wojny francusko-pruskiej, a następnie Komuny Paryskiej. Przeważają opisy partyzanckich bojów na tle ówczesnych stosunków politycznych i społecznych. Ciekawe.

Zofia Chądzyńska: SKRZYDŁO SOWY. PIW, s. 234, cena 15 zł.

Niełatwe jest pisarstwo tej autorki kilku już powieści. Jej światem jest świat przeżyć wewnętrznych. Szczególnie interesują autorkę postacie samotne, jak samotną jest kobieta — bohaterka niniejszej powieści. Psychologiczne.

Andrzej Twardochlib: GWIAZDA SEZONU. Czytelnik, s. 215, cena 10 zł.

Druga to z kolei pozycja tego 30-letniego autora. Za pierwszą („Małe punkty") otrzymał nagrodę Stowarzyszenia Księgarzy Polskich. Akcja rozgrywa się współcześnie w bazie transportowej jednej z przemysłowych budów w Polsce południowej. Ciekawe realia. Środowisko tzw. trudne, będące stale na pograniczu przestępstwa.

Olga Wormser-Migot: GDY ALIANCI OTWORZYLI BRAMY. Przeł. W. Gall. Iskry, s. 354, cena 18 zł.

Francuzka z urodzenia pracowała w Wydziale Poszukiwań Deportowanych po II wojnie światowej. Nagromadziła masę faktów, które zebrała w pasjonujący dokument wydany w XX rocznicę wyzwolenia obozów. Ta literatura obozowa jest nie tylko przypomnieniem, jest zarazem ostrzeżeniem.

Wladimir Pozner: HISZPANIA PIERWSZA MIŁOŚĆ. KiW, s. 103, cena 7 zł.

Bogata jest literatura związana z walkami w Hiszpanii w obronie republiki. Książka Poznera poszerza jeszcze jej ilość. Ciekawa narracja i frapująca fabuła.

Helena Boguszewska: CAŁE ŻYCIE SABINY. Czytelnik, s. 269, cena 15 zł.

Piąte z kolei wydanie powieści (1934), którą Boguszewska weszła na stałe do naszej literatury. Tę rówieśniczkę Nałkowskiej szczególnie interesują problemy osobowości ludzkiej. Powieść omawiana jest ciekawym obrazem życia Polski w pierwszych latach XX wieku. Psychologiczno-obyczajowa.

Eliza Orzeszkowa: CHAM. Czytelnik, s. 231, cena 11 zł.

Jedenaste wydanie popularnej książki autorki „Nad Niemnem", wydane w 30-tysięcznym nakładzie ze względu na potrzeby szkół.

Józef Ignacy Kraszewski: ADA. Wyd. Literackie, s. 536, cena 35 zł.

Z serii powieści obyczajowych tom noszący podtytuł: "Sceny i charaktery z życia powszedniego"... Temat to miłość ubogiego szlachcica do bogatej ziemianki. Psychologiczna i obyczajowa. Nakład aż 40 000 egz.

Roman Werfel: WIETNAM BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU. Iskry, s. 403, cena 16 zł.

Bardzo aktualna pozycja. Obok historii kraju i Układów Genewskich, mamy szczegółowe omówienie historii wojny i stopnie jej eskalacji. Ciekawy zbiór reportaży.

Artur Wiślicz: 13 NIE ZAWSZE FERALNA. KiW, s. 259, cena 15 zł.

Książka jest plonem podróży, którą odbył autor na statku handlowym. Opisy obiektów, relacje z rozmów i spotkań, refleksje na temat życia marynarzy. Trasa wiodła przez niektóre porty Europy północnej i Morza Śródziemnego. Ciekawe ilustracje.

Juliusz Goryński: SUPERMIASTO CZY SUBURBANIZACJA. KiW, s. 96, cena 5 zł.

W serii „Problemy, polemiki, dyskusje", próba odpowiedzi na pytanie, jakim będzie za 20—30 lat oblicze przeciętnego miasta w Polsce.

Felix Timmermans: ADRIAN BROUWER. Tłum. J. Fröbling. PiW, s. 129, cena 12 zł.

Powieść biograficzna, poświęcona życiu i twórczości znanego malarza flamandzkiego (1605—1638), pejzażysty.

Jerzy Taubman i Aleksander Blum: ROPA NAFTOWA W ŚWIECIE WSPÓŁCZESNYM. PWN, Omega, cena 10 zł.

Samuel Tolansky: OSOBLIWOŚCI PROMIENI I FAL ŚWIETLNYCH. Tłum. R. Mierzecki. PWN, Omega, s. 145, cena 10 zł.

Jerzy Domański: WOJSKOWE LOTNICTWO TRANSPORTOWE. Wyd. II popr. i uzup. MON, s. 228, cena 12 zł.

Nowości CPARA:

POPULARNE PIEŚNI I PIOSENKI RADZIECKIE. 12 piosenek na 3-głosowy chór (tercet) żeński, męski lub mieszany z towarzyszeniem fortepianu, s. 78, cena 20 zł.

GRY I ZABAWY NA POWIETRZU. Lato, s. 194, cena 20 zł.

Janusz Zaremba: FILM KRÓTKOMETRAŻOWY W PRACY KO, s. 100, cena 20 zł.

Nie tylko w Portugalii, ale i... nad Wisłokiem,

Fot. M. KOPEĆ

FILM • FILM • FILM

FILMOWA DOKUMENTACJA SZTUKI

W okresie powojennym nasze wytwórnie wyprodukowały 230 krótkometrażówek poświęconych sztuce. W liczbie tej znajdują się również pozycje krajoznawcze i historyczne zawierające elementy sztuki.

Z filmów tych ogromna większość, bo ok. 150, dotyczy architektury i sztuk plastycznych, a więc malarstwa, rzeźby, grafiki, plastyki ludowej; reszta — ok. 80 tytułów — tematyki teatralnej, muzycznej i innych dziedzin. Powstał też (niestety, tylko jeden) film fabularny „Mansarda" Konrada Nałęckiego, będący biografią Aleksandra Gierymskiego.

Najpoważniejszy dorobek w filmowej dokumentacji sztuki ma Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi (ok. 65 proc. wszystkich dotychczas zrealizowanych pozycji), pozostałe — to przede wszystkim produkcja Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie.

Do najbardziej znanych naszych twórców zajmujących się tą tematyką należą: Tadeusz Jaworski, Jarosław Brzozowski, Konstanty Gordon, Zbigniew Bochenek, Bohdan Mościcki i Stanisław Kokesz.

NOWE SCENARIUSZE

Ostatnio zaakceptowane zostały do produkcji dwa scenariusze filmów fabularnych. „Czekam na was w Monte Carlo" (autorzy — Bohdan Tomaszewski i Jerzy Suszko) — to utwór o tematyce sportowej z ambicjami psychologicznymi, ukazujący konflikt dwu przyjaciół biorących udział w rajdzie samochodowym do Monte Carlo. Film reżyserować będzie Julian Dziedzina.

Tytuł drugiego scenariusza (autorka Halina Snopkiewicz) brzmi „Tabliczka marzenia". Akcja rozgrywa się w środowisku uczniów szkoły średniej i ukazuje narodziny pierwszego uczucia. Reżyserować ma Zbigniew Chmielewski.

NOWA WERSJA BUFFALO BILLA

Mervyn Le Roy przygotowuje film o życiu jednej z najbarwniejszych postaci „Dzikiego Zachodu" Buffalo Billa. W roli tej wystąpi Cary Grant.

117 FESTIWALI

W tym roku odbędzie się 117 festiwali filmowych. Tak więc co trzeci dzień rozpoczyna się nowa tego rodzaju impreza. Obok festiwali o międzynarodowym znaczeniu i wysokim na ogół poziomie, takich jak Cannes, Wenecja, Moskwa i Karlowe Wary, urządza się coraz więcej drobnych, organizowanych często z myślą o ściągnięciu turystów. Rekord padnie prawdopodobnie we Włoszech, gdzie odbędą się w br. 33 festiwale.

Daje się zaobserwować też coraz większa specjalizacja festiwali. Są już przeglądy filmów sportowych, turystycznych, górskich, poświęconych architekturze, astronautycznych, podwodnych, przemysłowych itp.

*

Na łamach czeskiego dwutygodnika „Kino" wysoko ocenia organizację tegorocznego festiwalu krakowskiego Alois Humplik, podkreślając zwłaszcza świetną pracę biura prasowego tej imprezy.

FILM „DALEKO OD WIETNAMU" — W MONTAŻU

Reżyser francuski Chris Marker kończy montaż filmu „Daleko od Wietnamu". Film ten, zrealizowany przez kilku reżyserów, składa się z fragmentów dokumentalnych i inscenizowanych. Szczególne zainteresowanie budzą kadry dokumentalne nakręcone przez Jorisa Ivensa na północy i Claude Leloucha na południu tego kraju. W realizacji filmu udział brali ponadto: Alain Resnais, Jean -Luc Godard, Agnes Varda i William Klein.

FILMY NA WENECKI FESTIWAL

Ogłoszono listę filmów, które prezentowane będą w programie XXVIII Festiwalu w Wenecji (26 sierpnia — 8 września). Jest wśród nich pięć włoskich: „Obcy" Luchino Viscontiego z Marcello Mastroiannim i Anną Kariną, „Edyp" Pasoliniego, „La Cina e vicina" Marco Bellocchia, „Ojciec rodziny" Nanni Loya z Leslie Caron, Nino Manfredim i Ugo Tognazzim oraz „Wywrotowcy" Paolo i Vittorio Tavianich; dwa francuskie — „Chinka" Jean -Luc Godarda i „Piękność dnia" Luis Bunuela, angielski „Dom naszej matki" Jacka Claytona, zachodnioniemiecki „Mahlzeiten" Edgarda Reitza, węgierski „Koniec sezonu" Zoltana Fabriego i czechosłowacki „Noc nowicjuszki" Karela Kachyny z Janą Brejchovą. Prawdopodobnie demonstrowane będą również: radziecki film „Deszcz lipcowy" Marlena Chucijewa oraz film amerykański „Powrót Jazona" Schirley Clarke.

POLSCY AKTORZY W WĘGIERSKIM FILMIE

Reżyser węgierski Istvan Gaal (jego film „Wir" oglądaliśmy niedawno na naszych ekranach) zaangażował troje polskich aktorów do swego nowego filmu pt. „Chrzciny". Są to Tatiana Czechowska, Janusz Strachocki i Ewa Szykulska. Akcja filmu rozgrywa się współcześnie na węgierskiej wsi. Do młodej Polki, która wyszła za mąż za Węgra, przyjeżdżają w odwiedziny rodzice z Polski.

„WIELKIE NADZIEJE" DICKENSA PO RAZ CZWARTY NA EKRANIE

Powieść Dickensa „Wielkie nadzieje" ekranizowana była już trzykrotnie, ostatnio w Anglii w reżyserii Davida Leana z udziałem Johna Millsa, Jean Simmons i Aleca Guinessa. Nową wersję, w formie musicalu, przygotowują reżyserzy amerykańscy — Allan Pakula i Robert Mulligan. Scenariusz opracowuje Tad Mosel, muzykę komponują Andre i Dory Previn. Zdjęcia nakręcane będą w Anglii.

ROMAIN GARY REŻYSERUJE

Znany pisarz francuski Romain Gary zadebiutuje jako reżyser filmowy. Zrealizuje film w oparciu o swe opowiadanie „Ptaki umierają w Peru". Obok żony Gary'ego, Jean Seberg, w filmie wystąpią: James Mason, Maurice Ronet i Henri Silva.

IRENA RADZYNIAK — kierowniczka Księgarni Wydawnictw Importowanych w Rzeszowie.

rys. J. SIENKIEWICZ

Kalman Segal

Spotkanie

Przypadek — reżyser doskonały przygotował to spotkanie.

Ta młoda kobieta miała oczy takie same i takie same policzki i warkocze, a nawet takie same ruchy, i barwę głosu, i barwę śmiechu — jak pewna dziewczyna z mojej młodości, jak pewna dziewczyna, której usta, dłonie i włosy są już tylko pyłem osiadłym na drogach i ścieżkach mego kraju.

Młoda i żywa, uśmiechnięta nieznajoma kobieta podała mi bukiecik kwiatów i odeszła — kilka kruchych kwiatków do niczego przecież nie zobowiązuje.

Zapamiętałem jej uśmiech i dzięki niemu serce w piersiach bije mocniej i boleśniej. Dzięki niemu przez ułamek chwili doznałem nadziei na odnalezienie jakiejś — wciąż jeszcze niepojętej ciągłości świata i życia — tajemnicy, której nie sposób znaleźć w żadnym podręczniku anatomii.

Podnoszę do ust więdnący bukiecik i myślę o przyrzeczeniach, których nie spełniłem, i o tych, których nie spełniono wobec mnie, ponieważ nikt nie jest niezłomny, tak jak nikt nie jest nieśmiertelny.

Przebaczam i uzyskuję przebaczenie.

Z tęsknotą patrzę za oddalającą się młodą kobietą — może pewnego dnia zjawi się inna kobieta nieznajoma, która będzie jeszcze jednym przypomnieniem — ogniwem łańcucha opasującego serce i pamięć.

Być obok ludzi

Być obok ludzi w godzinie próby.

Opowiadać im o zielonych urodzajnych dolinach, gdzie pięknie obradza pszenica —

o przeźroczystych szemrzących strumykach górskich —

o białych okrętach zdążających do dalekich barwnych wysp —

o zachodach słońca, kiedy starcy siadają na progach domów i gawędzą ze strudzonymi synami, powracającymi z pola i patrząc w pogodne niebo, przepowiadają pogodę z lotu jaskółek, i spokojnie ćmią swoje fajki —

o czułych matkach i żonach pięknych —

o urodzajnych latach, które minęły i o dobrych ludziach, którzy odeszli —

o pachnących bochenkach chleba i o słodkich owocach —

o słonecznych porankach i księżycowych wieczorach, kiedy pachnie leśny storczyk — — —

Być obok ludzi i zbierać ich uśmiechy jak talary. I móc oddalić ich smutek ostateczny o tysiąc lat, lub bodaj o jedną minutę.

Zostawię otwarte drzwi w godzinie próby. Niech z mojej ufności skorzysta biedny złodziej.

Zdarzenia tygodnia

Na zgrupowanie amatorskich zespołów artystycznych, które wystąpią na Stadionie X-lecia w Warszawie podczas centralnych uroczystości dożynkowych z województwa rzeszowskiego wyjechało 14 zespołów tanecznych. Są to „Lasowiacy" z Huty „Stalowa Wola", zespoły z Międzyspółdzielnianego Ośrodka Kulturalno - Oświatowego „Lutnia" z Przemyśla, Związku Zawodowego Kolejarzy z Rzeszowa, Państwowego Ogniska Baletowego z Jarosławia, WDK Rzeszów, z Kraczkowej, pow. Łańcut, z Gaci, pow. Przeworsk, Wietlina, pow. Jarosław, Glinika Zaborowskiego, Niewodnej, pow. Strzyżów, Spółdzielni Pracy Przetwórstwa Tworzyw Sztucznych z Leżajska, Kuryłówki, Zakładów Chemicznych w Sarzynie i PZGS Lubaczów.

27 bm. wyjadą jeszcze do Warszawy kapele z PGR Bachórz, pow. Brzozów, z Glinika Zaborowskiego i WDK Rzeszów.

* * *

Zgodnie z regulaminem zakończony został konkurs „Wieś bliżej teatru". W III etapie konkursu w województwie rzeszowskim wzięło udział 110 środowisk wiejskich, 11 placówek powiatowych oraz Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej, Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kacperek" i Wojewódzki Dom Kultury. W chwili obecnej w Oddziale Wojewódzkim Związku Teatrów Amatorskich podsumowuje się wyniki z uwzględnieniem udziału mieszkańców wsi w spektaklach teatrów zawodowych i oglądania przedstawień Teatru TV, spotkań z ludźmi teatru, prelekcji i odczytów, wystaw oraz innych form upowszechniania kultury teatralnej.

* * *

Do udziału w tradycyjnym już przeglądzie zespołów regionalnych pod nazwą „Tatrzańska Jesień" z województwa rzeszowskiego zostały zaproszone: zespół regionalny ZTA z Łużnej, pow. Gorlice (widowisko „Prządki łużańskie") oraz zespół pieśni i tańca z Haczowa, pow. Brzozów. Festiwal odbędzie się w dniach 5—9 września br. w Zakopanem.

* * *

Ukazał się drugi zeszyt „Sprawozdań z posiedzeń naukowych oraz działalności Towarzystwa Przyjaciół Nauk i innych towarzystw naukowych i kulturalnych miasta Przemyśla", obejmujących działalność w roku 1966. Wydawnictwo zawiera sprawozdania z posiedzeń sekcji naukowych Towarzystwa Przyjaciół Nauk, informacje i streszczenia referatów, sprawozdania z działalności TPN i innych towarzystw naukowych oraz kronikę ważniejszych wydarzeń kulturalnych z terenu Przemyśla.

Wydawcą „Sprawozdań" jest przemyskie TPN, a fundatorem krakowski Oddział Polskiej Akademii Nauk.

* * *

Jak już wiadomo, w Załużu, pow. Sanok, odbędą się wojewódzkie eliminacje zespołów artystycznych przedsiębiorstw i gospodarstw rolnych naszego rejonu. W związku z tą imprezą 23 bm. zorganizowano w Rzeszowie naradę dyrygentów i kierowników zespołów zakwalifikowanych do eliminacji. Uczestnicy spotkania wysłuchali wskazówek metodycznych (uwagi na podstawie doświadczeń rejonowych przeglądów) oraz ustalono repertuar.

* * *

W województwie rzeszowskim przebywał Centralny Zespół Artystyczny Związku Harcerstwa Polskiego przy Teatrze Wielkim w Warszawie. Na imprezę zatytułowaną „Roześmiani, rozśpiewani", złożyły się arie operowe i operetkowe, utwory muzyczne, piosenki i humor w wykonaniu zespołu oraz artystów Teatrów Wielkich w Warszawie i Łodzi pod dyrekcją i kierownictwem artystycznym Władysława Skoraczewskiego.

Imprezy odbyły się w Rymanowie-Zdroju, Sanoku, Solinie, Dębicy, Przemyślu, Jarosławiu, Rzeszowie, Stalowej Woli i Mielcu.

* * *

Przy Powiatowej Komisji Związków Zawodowych w Tarnobrzegu powołano ostatnio zespół koordynacyjny do spraw kultury i oświaty. Zadaniem zespołu będzie koordynacja pracy kulturalno - oświatowej związkowych placówek oraz współpraca z Wydziałem Kultury Prez. PRN, organizacjami społeczno - politycznymi i kulturalno - oświatowymi.

Opowieści folklorystyczne

Tajemnica raniżowskich „Stołowych Gór"

Kowal, o którym będzie gadka, mieszkał se blisko „Stołowych Gór". Stołowe góry, to takie płaskie wydmuchy piaskowe pomiędzy Raniżowem a Wolą Raniżowską — porośnięte teraz lasem. Kowal się raz tam znalazł, kiedy na zarobek szedł wczesnym rankiem. Nadybał wtedy pod sośnią w stal zakutego rycerza. Rycerz niewiele myślący, z miejsca tak pada do niego:

— Chcesz zarobić trochę złota, to pójdź za mną. Co bym nie chciał, panie, złota — mówi kowal — ale gdzie mam z tobą iść?

— Niech o to głowa nie boli. Zaprowadzę — odrzekł rycerz. I prowadzi w gęsty las pod chabłaki. Tu się rozstąpiły góry i ukazały we wnętrzu swoim czeluść, ogromną czarną jaskinię, dłużarną prawie bez końca. W jaskini stołów zatrzęsienie! A przy stołach mrowie zaśniętych rycerzy! Na łokciach wsparci, na rękach — śpią, jakby byli bez duszy. Między nimi wódz w koronie z brodą siwą, która mu bez miary rośnie. Za jaskinią z rycerzami loch jeszcze od niej straszniejszy, pełniuteńki bojowych rycerskich koni. Kiedy się kowal cuduje, przewodnik mówi do niego:

— Trza je podkuć. Po to cię tu sprowadziłem. Zrobisz co trza, zarobisz za to wór złota.

Kowal miał swoje narzędzia. Zabrał się zaraz do kucia, bo podkowy i inne rzeczy potrzebne były już przygotowane. Kuł te konie bez spocznienia i robota szła mu sporo. Kiedy się przy pracy znoił, a konie się nerwowały i budziły, to przewodnik napomniał go, żeby nie naklął ze złości, bo mu na dobre nie wyjdzie. A on na jednego ogra, co był przy kuciu zuchwały, zawołał z niecierpliwością: stój! No to przebudził rycerza, właściciela tego konia. Husarz zapytał zaspany:

— Czy już czas wstać i bić? — A ten od kucia mu odrzekł:

— Śpij spokojnie, jeszcze nie czas — i kowalowi pogroził. A potem szepnął do ucha:

— Na wielką wojnę wstaniemy, która już będzie ostatnia. Zetrzemy zło z całej ziemi i zniszczymy do imienia. Ale to nastanie wtedy, kiedy naszemu wodzowi siwa broda tak urośnie, że owinie stół, przy którym jest zaśnięty, siedem razy.

Ciekawy kowal pyta się:

— To kiedy wasza wielmożność tak łaskawy, to niech powie: skądżeście się w tych podziemiach tacy zakuci w żelazo w takiej straszecznej gromadzie razem wzięli?

— Jagiełłowi my rycerze — pada tamten, a zbroja na nim grzechoce. — Jagiełłowi i ci sami spod Grunwaldu! Śpiący, cichutcy, gdy światem idzie pokój, a zbudzeni i chrobocący żelastwem, kiedy potrza będzie karać zło i podłość ludzką, żeby z niej śladu nie było. Góry mają wygląd stołów ponad nami, bo nas zasypały piachy, kiedyżeśmy po zwojowaniu Krzyżactwa polowali i po lasach ucztowali, bonowali. Zmiotła nas tutaj w te głębie siarczysta z grzmotami burza, gdy się zapadła pod nami w trzęsieniu ognistym ziemia. I czekamy haw zaklęci na nasz czas. Ale czas jeszcze nie przyszedł.

— A koniecznie trza wam wstać? — pyta kowal.

— Tak, kiedy zajdzie potrzeba — pada rycerz. — Sąśmy zawsze w pogotowiu. Gdyby nie było potrzeby, wodzowi naszemu broda siedem razy jego stołu nie obwinie i my się ze śpiączki na wierzch karać i bić nie porwiemy.

Przy robocie (kiedy tak wciąż gawędzili) kowalowi się zdawało, że trzy dni konie podkuwał, a krzątał się koło kopyt przez trzy lata. A gdy podkuł wszystkie konie i narzędzia wziął do płótnianego worka, rycerz wsypał mu do środka z końskich kopyt ostrużyny. Kowal spodziewał się złota. To kiedy wyszedł z jaskini, rozgniewał się i ostrużyny rozsypał, gdy wracał do dom, po drodze. Nie wyleciały z narzędzi jeno małe ostrużynki, co się w nie zacharęciły i z nich miał w domu talary... Ze wszystkich ostrużyn miałby worek złota, a z tej troszki miał niedużo. Chodził za tym rozsypanym, szukał w lesie, a nie znalazł, bo gniew jego zmienił ostrużyny tamte, wysypane w złości z worka — nie w złoto, ale w błoto, w czarny gnój. A nie miał się przecie złościć ani rozgniewany kląć.

A do otworu jaskini śpiących rycerzy nie trafił, bo góry się tam do niepoznaki zwarły i piasek zadął ślad wszelki. A rycerza zakutego w stal, kiedy po lesie chodził, nigdy w życiu nie napotkał, bo nie był już tego godny.

Wersje gadki od uczniów z okolic Raniżowa — opracował:

WŁADYSŁAW DŁUGOSZ

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2051, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.